Łódź **odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NR 16 (1219) ROK XXIV 19 KWIETNIA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Spokojnych i pogodnych Świąt naszym Czytelnikom

życzy zespół „Odgłosów"

PSALMY

w przekładzie CZESŁAWA MIŁOSZA

PSALM 1

1. Szczęśliwy, kto nie chodził za radą bezbożnych I na drodze grzeszników nie powstał, i w gromadzie naśmiewców nie siedział.
2. Ale w prawie Pańskim ma upodobanie i naukę Pańską bada w dzień i w nocy.
3. I będzie jak drzewo zasadzone u strumieni wód, które wydaje owoc, kiedy jest jego czas, i którego liść nie usycha. A cokolwiek zacznie, powiedzie się.
4. Nie tak nieprawi, nie tak. Ale są jak plewy, które wiatr wymiata.
5. Przeto nie ostoją się nieprawi na sądzie ani grzesznicy w zgromadzeniu sprawiedliwych.
6. Albowiem poznaje Pan drogę sprawiedliwych, a droga grzesznych zaginie.

PSALM 13

1. *Przewodnikowi chóru Psalm Dawida.*
2. Jak długo, Panie? Czy zawsze będziesz zapominać o mnie? Jak długo swoje oblicze będziesz ukrywać przede mną?
3. Jak długo będą tylko troski w duszy mojej i zgryzota w sercu moim każdego dnia? Jak długo mój nieprzyjaciel wynosić się ma nade mnie?
4. Weirzvi, odpowiedz mi, Panie i Boże mój! Oświeć oczy moje, abym nie zasnął śmiercią.
5. Niech nie powie mój nieprzyjaciel: „Przemogłem go". Niech nie cieszą się prześladowcy moi, że zachwiałem się.
6. A ja ufam miłosierdziu Twemu, rozraduje się moje serce wybawieniem przez Ciebie, będę śpiewał Panu, bo mnie obdarował.

PSALM 123

1. *Pieśń wstępowań.* Do Ciebie wznoszę oczy moje, który mieszkasz w niebie.
2. Oto jak oczy zwrócone są ku ręce ich pana, jak oczy służebnic ku ręce ich pani, tak nasze oczy ku Panu, Bogu naszemu, aż zmiłuje się nad nami.
3. Zmiłuj się nad nami, Panie, zmiłuj się nad nami! Bo jesteśmy bardzo nasyceni pogardą.
4. Nad miarę nasycona jest dusza nasza drwinami możnych i pogardą pysznych.

PSALM 150

1. Alleluja. Chwalcie Pana w Jego świątyni, chwalcie Go na firmamencie Jego mocy.
2. Chwalcie Go dla czynów Jego potęgi, chwalcie Go wedle Jego niezmiernej wielkości.
3. Chwalcie Go dźwiękiem rogu, chwalcie Go na harfie i lirze.
4. Chwalcie Go bębnem i tańcem, chwalcie Go na strunach i fletniach.
5. Chwalcie Go na cymbałach dźwięcznych, chwalcie Go na cymbałach gromkich.
6. Wszystko, co oddycha, niechaj chwali Pana! Alleluja.

Tekst na podstawie wyd.: Księga Psalmów. Tłumaczył z hebraiskiego Czesław Miłosz. Editions du Dialogue, Paris 1979.

Jacek Indelak

FENOMEN IMIENIEM HARRIS

— *Żadnych dziennikarzy! Żadnych zdjęć! Wykluczone!* — tak podobno orzekł sam *Harris Clive.*

Może jednak słynny Kanadyjczyk nie jest tak nieugięty, tak niechętny dziennikarzom? Ba, jak to sprawdzić? Dziś jeszcze go nie ma, a jutro będzie za późno. Nie uda się przedrzeć przez wielotysięczny tłum, oblegający go od samego świtu.

Cierpliwie zatem antyszambrujemy u klasztornej furty, która jest zresztą furtą tylko symboliczną. Drzwi to bowiem zwykłe, odcinające część kancelaryjną od klasztornych korytarzy. Od sympatycznego furtiana w czarnym habicie wiemy już, że właśnie trwa robocza odprawa świeckiego komitetu organizacyjnego z przedstawicielami duchownych gospodarzy pobytu *Harrisa Clive'a.* Ojcowie Franciszkanie udostępniają na ten cel pomieszczenia i tereny swojego XVIII-wiecznego kościoła i klasztoru w Łagiewnikach.

Trwa narada. Ze strony świeckiej — między innymi — pan *Lech Łyszkowski-Rosicki,* współpracujący od długiego czasu z *Harrisem.* Ze strony zaś gospodarzy — *ojciec Maciej Krzymowski,* profesor katechetyki, który z kanadyjskim uzdrawiaczem ma zetknąć się po raz pierwszy. *Harris Clive* był już raz w Łagiewnikach, *ojciec Maciej* przebywał jednak jeszcze w Krakowie, w imieniu klasztoru natomiast całą akcją kierował *ojciec Paulin Sotowski.* Odżegnał się on dziś od udziału w całym tym przedsięwzięciu, które kosztowało go wówczas dość zdrowia i nerwów.

Obecny pobyt pana *Clive'a* w Łodzi był starannie przygotowywany — jak i poprzednie — od długiego czasu. Komitet organizacyjny od dwóch już miesięcy przyjmował zgłoszenia od chorych. Uruchomił nawet własną skrytkę pocztową, wydrukował specjalne formularze. Zespół lekarzy — społecznie, jak wszyscy — badał i

(Dalszy ciąg na str. 10)

KRONIKA KULTURALNA

JURY pod przewodnictwem prof. Zenona Płoszaja ogłosiło skład polskiej ekipy na VIII Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego. W tej grupie znalazło się kilku łodzian: Tomasz Bartosiak (absolwent PWSM), Zbigniew Marchel (student V roku PWSM) i Monika Urbaniak (studentka V roku PWSM).

BOGATA jest wiosenna oferta Stowarzyszenia Artystycznego Łódzkiego Klubu Jazzowego i „Estrady Łódzkiej". W kawiarni „Dziekanka" wystąpił prekursor jazzu awangardowego – Jemmel Moondoc i jego „Muntu Ensemble". Do Teatru Estrady „Test" Estrada Łódzka zaprasza na koncert popularnej grupy „Pod Budą". Także Estrada Łódzka zorganizowała występ pięcioosobowej wokalnej grupy murzyńskiej „The Johny Thompson Singers".

JUŻ od 11 kwietnia w łódzkim Teatrze Wielkim grana jest „Maria Stuart" — najnowsza opera współczesnego polskiego kompozytora, a jednocześnie autora libretta — Romualda Twardowskiego. Reżyseruje spektakl Maria Foltyn, dyryguje Jerzy Salwarowski, scenografię przygotował Marian Kołodziej.

23 MARCA na VII Opolskich Konfrontacjach Teatralnych jako impreza towarzysząca odbył się koncert kompozytorski Bogusława Schaeffera pt. „Scenariusz nie istniejącego lecz możliwego aktora instrumentalnego" w wykonaniu łódzkich aktorów: Adama Kaczyńskiego i Jana Peszka. Miło nam poinformować czytelników, że Jan Peszek za rolę Aktora w tym pokazie został nagrodzony specjalnym wyróżnieniem jury Konfrontacji.

W MINIONYM tygodniu jubileusz 95-lecia obchodził łódzki chór „Harmonia". Kulminacyjnym punktem obchodów jubileuszu była uroczystość zorganizowana w sali Muzeum Historii Miasta Łodzi. Zespół otrzymał wiele życzeń i gratulacji m.in. gratulacje na piśmie od prezydenta miasta Łodzi, życzenia od przedstawicieli Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych, ZG Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych.

POWSTAŁ Społeczny Komitet Budowy Filharmonii. Kilka dni temu przedstawicieli Komitetu z prof. Jerzy Lanzendorferem przyjął prezydent miasta Łodzi – Józef Niewiadomski. Na spotkaniu Komitet orzekający swoje stanowisko wobec ewentualnego remontu budynku przy ul. Narutowicza oraz perspektyw budowy nowego gmachu. Wręczono także prezydentowi list melomanów w sprawie budowy Filharmonii Łódzkiej, opatrzony blisko 600 podpisami.

HELENA Modrzejewska znakomita polska aktorka, podczas swoich licznych podróży odwiedziła także Łódź. W naszym mieście gościła trzy razy, wystąpiła wtedy w rolach Marii Stuart, Lady Mackbet i Adrianny Lecouvrer. Z okazji 90 rocznicy pobytu aktorki w Łodzi Towarzystwo Przyjaciół Łodzi zorganizowało w Muzeum Historii Miasta wieczór poświęcony wybitnej artystce. O Helenie Modrzejewskiej i jej występach w Łodzi mówił Roman Kaczmarek, zaś listy aktorki odczytała Kazimiera Nogajówna.

15 KWIETNIA na scenie Teatru „7 15" nowa premiera. Będzie to „Miłość w Wenecji" Louisa Velle's Snektaki reżyseruje Ryszard Sobolewski, scenografię przygotował Jerzy Rudzki grają: Róża Chabelska, Barbara Marszałek, Bogumił Antczak i Ryszard Sobolewski.

W GALERII Bałuckiej (Stary Rynek) otwarta jest wystawa fotografii. Wystawa nosi tytuł „Notatnik" autorem prac jest Jan Madeyski.

W OŚRODKU Propagandy Sztuki w parku im. H. Sienkiewicza, otwarto wystawę grafiki rysunku i malarstwa Leszka Rózgi. Na ekspozycji umieszczono prace powstałe w latach 1949—1979.

JUŻ od 31 marca czynna jest w BWA (w Salonie Sztuki Współczesnej) wystawa malarstwa i rysunku Marka Żuławskiego.

SPIS TREŚCI ODGŁOSÓW

Informujemy naszych Czytelników, iż dysponujemy spisem treści naszego pisma za rok 1980. Ponieważ ilość egzemplarzy jest ograniczona, nie będzie on dołączany do całego nakładu Odgłosów' a jedynie wysyłany adresatom na podstawie zgłoszeń. Zainteresowanych prosimy o kierowanie zgłoszeń pod adresem redakcji.

WITAMINA „I"

Oczekiwaliśmy, nie tylko środowisko dziennikarskie, że Sejm, podczas swego minionego (10 bm.) posiedzenia plenarnego podejmie m.in. sprawę ustawy o cenzurze. Stało się inaczej.

Środki masowego komunikowania znalazły się jednak w centrum uwagi Wysokiej Izby. W Uchwale Sejmu czytamy m.in.:

„Sejm podkreślając szczególną wagę w obecnej sytuacji obiektywnego informowania opinii publicznej o wydarzeniach w kraju i w świecie, zwraca się do **ośrodków kierujących masową komunikacją** oraz do dziennikarzy o wysokie poczucie odpowiedzialności za słowo, o rzetelną informację i interpretację wydarzeń oraz unikanie wszystkiego, co może wywoływać napięcia i konflikty.

Sejm wzywa wszystkie organizacje społeczne i środki masowego przekazu, aby kierując się interesem społecznym i duchem porozumienia powstrzymywały się od jątrzących akcji propagandowych".

Wyróżniłem fragment tego cytatu, stanowiący treść istotnej poprawki — uzupełnienia, wniesionej przez posła Karola Małcużyńskiego. Uzupełnienie wskazuje na odpowiedzialność — co najmniej równą dziennikarskiej — organów „decydenckich", za to, co się w ostatecznej formie ukazuje na łamach prasy, w Tv i radiu.

W ostatnim czasie, wraz z konfliktem bydgoskim, kwestie wiarygodności środków masowego komunikowania zyskały głębszą treść i szerszy wymiar w świadomości społecznej. Oto z dyskusji IX plenarnego posiedzenia KC PZPR (cytuję za „Trybuną Ludu").

„Słaba, opóźniona i pełna niedomówień, a także sprzeczna w różnych środkach masowego przekazu informacja partyjna o wydarzeniach w Bydgoszczy stawiała nas, członków partii i aktywistów już z góry w bardzo przykrej sytuacji. Nie umiejąc wyjaśnić okoliczności zaistniałych w Bydgoszczy, traciliśmy wiarygodność. Członków partii nie przekonywały nawet systematyczne informacje przekazywane przez Komitet Wojewódzki PZPR. Bo były to przekazy zawierające luki, do dziś niejasne, chociaż polityczna ocena została przekazana.

Chcę przy tym dodać, że w tym samym czasie zalewała nas propaganda „Solidarności", nie zawsze prawdziwych faktów".

(STEFANIA PARUZEL, członek KC, szwaczka ze Słupska)

„Jeśli mówi się o odpowiedzialności politycznej za już istniejące skutki konfliktu bydgoskiego to na pierwszym miejscu wpisałbym właśnie doprowadzenie do spotęgowania do ostatecznych granic niewiarygodności naszej propagandy i informacji.

Każdy z nas śledził niekonsekwencje i łamańce oficjalnej argumentacji, której żywot nie trwał zwykle dłużej niż 24 godziny. Szkody powstałe z tego tytułu w świadomości członków partii i społeczeństwa są nieobliczalne. Z trudem odzyskiwana wiarygodność znów gwałtownie się zmniejsza.. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego. Ktoś przecież odpowiada za utrzymywanie muru między świadomością społeczeństwa i mas partyjnych, a partyjną linią porozumienia ze społeczeństwem".

(KRYSTYN DĄBROWA, członek KC, I sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR)

„W dyskusjach wyraża się brak zaufania do decyzji partyjnych oraz informacji przekazywanych z Komitetu Centralnego. Dotyczy to zarówno szybkości jak i rzetelności przekazywanych informacji. Z reguły są one rozbieżne z informacjami przekazywanymi przez środki masowego przekazu. Zarzuca się nam i słusznie, że szereg informacji dociera tylko do wąskiego grona aktywu i pracowników aparatu partyjnego".

(WOJCIECH JARECKI, członek KC, mistrz z WSK w Mielcu)

„Chciałbym w tym punkcie przejść do podnoszonej w niektórych rezolucjach i innych wystąpieniach, kwestii nierzetelnej informacji i rzekomego manipulowania prasą. Otóż chcę powiedzieć, że kierowałem się i kieruję założeniem, że organy prasowe partii powinny służyć polityce partii. I w tym kierunku staram się rzeczywiście aktywnie wpływać na zespoły redakcyjne. Jest jednak rzeczą pewną, że zarzuty o manipulowaniu prasą, czy zwłaszcza nierzetelnej informacji, pojawiają się zawsze wtedy, kiedy w prasie ukazuje się jakakolwiek informacja krytyczna, bądź komentarz krytyczny na temat „Solidarności" (...) Chciałbym wyrazić szacunek z tej trybuny komentatorom „Trybuny Ludu", „Żołnierza Wolności", Dziennika Tv i niektórych innych organów za pryncypialną obronę i zaangażowanie w realizacji linii socjalistycznej odnowy".

(STEFAN OLSZOWSKI, członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR)

Jak wspomniałem na początku, polityka informacyjna oraz problemy masowego komunikowania, były podnoszone podczas debaty sejmowej. Oto opinie posłów (przytaczam za „Trybuną Ludu").

„Sprawa, która w ostatnich dwóch tygodniach stanęła szczególnie ostro — to prawdomówność, jakość i szybkość informacji przekazywanych przez masowe środki przekazu. Opinia publiczna zgłosiła w tej kwestii sporo zastrzeżeń, obok których nie możemy przejść obojętnie, bądź też wnioski z nich płynące odkładać na jutro lub pojutrze. Nie bulbym jednak sobą, gdybym postulatu dochowania wierności faktom nie wysunął pod adresem również autorów akcji propagandowej wszczętej przez niektóre ogniwa „Solidarności" tuż po wydarzeniach bydgoskich. Chciałbym też, abu moi koledzy po fachu, pilnie patrząc nam na ręce, widzieli nie tylko nasze. O nic więcej nie proszę".

(poseł MIECZYSŁAW RAKOWSKI, wicepremier, PZPR)

Społeczeństwo ma prawo i powinno być rzetelnie, zgodnie z prawdą informowane o wszystkim, co dotyczy najżywotniejszych interesów kraju. Nie mogą to być informacje jednostronne, lub półprawdy. Taki strumień informacji powoduje tylko wzrost napięcia i sprzeciw społeczny.

(poseł ELŻBIETA RUTKOWSKA, PZPR)

Jako jeden z seniorów polskiego dziennikarstwa mam podstawę do wydawania fachowej oceny o naszych głównych środkach przekazu. Otóż ta ocena nie wypada dobrze. Za dużo informacji niepełnych, zdeformowanych ufryzowanych, opóźnionych, i przez to jątrzących, denerwujących, rozgoryczających czytelników, słuchaczy, telewidzów. Przyczyna jest ta sama, która gnębi nasze dziennikarstwo od końca lat czterdziestych i trwa po dziś dzień. Oto ten najważniejszy i najwrażliwszy instrument dialogu rządu ze społeczeństwem był i jest kierowany z reguły przez polityków nie mających żadnego stażu dziennikarskiego, a zatem żadnych umiejętności dziennikarskich. Mimo to żyjących jednak w zdumiewającym — przez tyle dekad — zadufaniu, że oni tylko znają najlepiej kurs marszu wyznaczonego przez partię i trwało, pryncypialnie decydują za swych partyjnych dziennikarzy, nie mówiąc już o bezpartyjnych: co, kiedy i w jakiej formie ma być przekazane w ich przekonaniu wciąż niedojrzałej masie czytelników, słuchaczy i telewidzów, budującym już 36 lat socjalizm w tym kraju.

(poseł EDMUND OSMAŃCZYK, bezpartyjny)

Do spraw tych często wracano podczas spotkań, jakie odbywali członkowie kierownictwa partii po IX Plenum. Oto fragment relacji „Trybuny Ludu", ze spotkania I sekretarza KC PZPR, Stanisława Kani w Stoczni Gdańskiej:

„Surowo też oceniono pracę środków masowego przekazu, które — zdaniem niemal wszystkich mówców — nie służą nadal w pełni i właściwie procesowi socjalistycznej odnowy.

Opóźniana i niepełna informacja prasowa i telewizyjna nie przystające do życia komentarze (również w „Trybunie Ludu") — wszystko to tworzy często fałszywy obraz procesów zachodzących w Polsce i w następstwie stanowi również zagrożenie jej interesów za granicą. Uczestnicy spotkania krytykowali sposób kierowania prasą, polegający na ograniczaniu informacji, przytaczając słowa Lenina, że „najlepszą propagandą partyjną jest pisanie prawdy".

Z członkami partii w Hucie Warszawa spotkał się Stefan Olszowski. W sprawozdaniu Marty Wesołowskiej, zamieszczonym w „Polityce", czytamy m.in.:

„Tow. Potrzebowski: — Towarzyszu sekretarzu, dlaczego nasza informacja tak się spóźnia? No, w sprawie Bydgoszczy; jesteśmy za BBC, za Wolną Europą, za „Solidarnością"! To rozbija jedność szeregów partyjnych. Dajcie to szybciej, towarzyszu Olszowski, dajcie z własnym komentarzem, ale szybciej!

Tow. Muszyński: — Dlaczego ja muszę słuchać innych rozgłośni? Bo nasza prasa kłamie! Dajcie prawdę, towarzyszu sekretarzu, my chcemy prawdę, nawet najgorszą, ale prawdziwą! (...)

Oto stanowisko Stefana Olszowskiego wobec poruszonych wyżej problemów:

— Informacja powinna być szybsza i lepsza, zapewne zdarzają się błędy w naszej pracy (...) Jeśli chodzi o Bydgoszcz, to żadnego embarga nie było".

Tak zwane „samo życie" jest oczywiście barwniejsze i ciekawsze od najbardziej nawet pasjonujących sprawozdań. Przytaczam relację (stosowne fragmenty), jaką Krzysztof Czabański mógł już zamieścić w „Kulturze", po przetoczeniu się fali niepokoju związanej ze sprawą bydgoską.

„Wydarzenia w Bydgoszczy od samego początku miały przypisaną sobie informację i interpretację. Przede wszystkim, nikt nie wiedział niczego o żadnym pobiciu. Poza tym – wszystkiemu winni byli chłopi. (...) Pojawia się wersja, że działacze „Solidarności" sami pobili się kastetami; ktoś drukuje ulotki, twierdzące, iż Rulewski dokonał samookaleczenia. Komunikat PAP mówi o usunięciu siłą, ale nie ma w nim ani słowa o pobiciu i rannych. Jedynie miejscowe gazety — kłaniam się nisko swoim kolegom – gazeciarzom — usiłują opublikować choćby kawałek prawdy. W „Dzienniku Wieczornym" i w „Gazecie Pomorskiej" napisano wprost o tym że interwencja milicji nastąpiła w momencie końcowym uzgadniania przez radnych i „Solidarność" wspólnego komunikatu, że milicja działała wbrew woli i mimo protestów radnych, czyli gospodarzy budynku WRN.

W kraju jednak i w DTv obowiązywała inna wersja wydarzeń. (...) Wersja tą, jaskrawie różna od faktów, była uporczywie podtrzymywana przez wiele dni. Mówiono wprawdzie, że są pobici, jednak podkreślano, że pobicie nastąpiło poza salą WRN, a bił nie wiadomo kto. (...) Dziennik telewizyjny uparcie dopuszczał do głosu wicewojewodów, którzy przecież nie zmienili nagle zdania. Oficjalna informacja wywoływała gorzki śmiech w Bydgoszczy, a właściwie w całym kraju. (...) Służba informacyjna „Solidarności" rozlepiała w wielu miastach plakaty ze zdjęciami pobitych, ukazywały się ulotki potępiające akcję milicji i opisujące przebieg wydarzeń. Jednocześnie pojawiły się ulotki wydawane jakby przez kogoś innego. „W czasie przywracania porządku — czytamy w jednej z nich — nikt nie doznał żadnych obrażeń. Jeśli nie liczyć tego, że Jan Rulewski dokonał samookaleczenia. (...)" Podpisano: „Grupa Radnych Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy". (Na najbliższej Sesji WRN spytano, kto jest autorem tej ulotki. Ponieważ okazało się, że nikt z radnych, sprawę przekazano oficjalnie do prokuratury; śledztwo nie powinno być trudne, gdyż jakość druku ulotki jest nader wysoka, a takich drukarni w kraju nie ma dużo). (...)

Dziennikarze podjęli uchwałę, podpisaną również przez przybyłych korespondentów z innych miast, żądającą obiektywnej informacji w środkach przekazu. „Protestujemy przeciwko – pisali koledzy z Bydgoszczy – manipulowaniu, w sobie tylko wiadomych celach społeczeństwem, poprzez ograniczone przepływy informacji i jej świadome fałszowanie w centralnych środkach masowego przekazu, depeszach PAP i dziennika Tv".

(Z reportażu „Bydgoszcz", Kultura 12.04.1981 r.)

Można, oczywiście, być przekonanym o tym, że żadnego embarga na informacje o wydarzeniach w Bydgoszczy nie było. Przekonanie jednak przekonaniem, a fakty faktami. Być może zawodzi więc informacja na wyższym piętrze? Informacja o informacji?...

My jesteśmy przekonani, że informacja, rzetelna, wiarygodna, potrzebna jest społeczeństwu jak witamina, której rzeczywiście nie wolno poddawać embargom. Dlatego więc wdzięczni jesteśmy posłowi Karolowi Małcużyńskiemu za poprawkę, jaką zechciał wnieść do projektu Uchwały Sejmu i — pozostałym posłom, którzy tę poprawkę przegłosowali.

JERZY KATARASIŃSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

Znów część prasy zachodniej podgrzewała temperaturę międzynarodową. Wykorzystując dwa zdania z wypowiedzi sekretarza obrony USA — Weinbergera obficie spekulowano wokół wydarzeń w Polsce i rzekomych ruchów wojsk w pobliżu naszych granic. W tym celu wykorzystano także fakt przybycia L. Breżniewa na zjazd Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Napięcie wzmagano aż do momentu, kiedy to radziecki przywódca zabrał głos i powtórzył gotowość ZSRR do takich rozmów i działań, które by torowały drogę odprężeniu i trwałemu pokojowi. Sekretarz generalny KC KPZR wyraził też przekonanie, że polscy komuniści i patriotyczne siły w kraju udzielą **„niezbędnej odprawy zamierzeniom wrogów ustroju socjalistycznego, którzy są również wrogami niepodległości Polski, potrafią obronić sprawę swego narodu, honor i bezpieczeństwo swej ojczyzny".**

Przemówienie L. Breżniewa na XVI Zjeździe KPCz wywołało kolosalne zainteresowanie na świecie i załamało kurs prasy zachodniej na oczekiwanie rychło niebezpiecznych wydarzeń. Ton prasy uległ zasadniczej zmianie jednakże pytanie: dlaczego tak eskalowano napięcie? — pozostaje. Nikt przecież nie wierzy, aby był to przypadek. A więc? Po prostu znowu kołom militarnym świata kapitalistycznego zależało, aby ukształtować atmosferę zagrożenia i psychozy nieuchronnej konfrontacji.

Jakże z tym nastrojem kontrastowały słowa L. Breżniewa, wypowiedziane na wspomnianym zjeździe:

„...Nasze propozycje mają na celu uregulowanie najbardziej aktualnych i najważniejszych dla utrwalenia pokoju problemów międzynarodowych. Proponujemy zainteresowanym stronom rzeczowe, konstruktywne rozmowy w tych sprawach — na każdym szczeblu, bez żadnych warunków wstępnych. Jeśli ktoś ma inne rozsądne propozycje, gotowi jesteśmy je rozważyć. Jednakże ze strony rządów państw zachodnich, szczerze mówiąc, na razie nie zauważamy specjalnej gotowości do rozmów".

Jak wiadomo, w ostatnim okresie odbyły się zjazdy Bułgarskiej Partii Komunistycznej, Komunistycznej Partii Czechosłowacji i Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności. Na każdym z tych zjazdów wiele mówiono również o sytuacji międzynarodowej oraz polityce państw socjalistycznych. Nawet bez uważniejszej analizy łatwo zauważyć, jak wielki akcent państwa socjalistycznej wspólnoty kładą na konieczność utrzymania i rozwijania odprężenia w stosunkach międzynarodowych, celowość i niezbędność przerwania wyścigu zbrojeń oraz szukania dróg porozumienia w najistotniejszych problemach współczesności.

A Zachód? Właściwiej, co zaraz wyniknie z tekstu, postawić jest pytanie: a Stany Zjednoczone? Nie tylko nie kwapią się do rozmów, o czym mówił L. Breżniew, ale dozbrajają się i nalegają na swych sojuszników, aby czynili to samo. Dopiero skończyła się konferencja Grupy Planowania Nuklearnego NATO. Wspomniany już powyżej Weinberger powiedział tam europejskim ministrom obrony, że USA zamierzają w przyszłym roku zwiększyć wydatki militarne o 15 proc. i ostrzegł, że Waszyngton nie będzie tolerował „dreptania w miejscu" w tej sprawie krajów partnerskich. Tymczasem większość rządów zachodnioeuropejskich boryka się z recesją i ma trudności ze zwiększaniem wydatków na zbrojenia o 3 proc. rocznie w cenach realnych. Uważają one, że trzeba rozmawiać z ZSRR, aby wyjaśnić sytuację, chociaż amerykański sekretarz obrony przestrzegał przed „uśpieniem przez Moskwę zachodniej opinii publicznej". To twarde stanowisko Weinbergera spotkało się z krytyką Schmidta, który w wywiadzie telewizyjnym stwierdził: są Amerykanie, którzy udzielają wywiadów i wywierają wpływ na prasę, stwierdzając, że NATO powinno zmodernizować swoje uzbrojenie zanim Waszyngton przystąpi do negocjacji z Moskwą.

Na tle tego, co teraz powiedzieliśmy, szczególnego znaczenia nabiera zapowiedź wizyty radzieckiego przywódcy w Bonn, której termin nie został wprawdzie ściśle określony, ale która na pewno odbędzie się przed początkiem lata.

I na zakończenie jeszcze kilka zdań o zakończeniu XXIII rundy rokowań wiedeńskich. Rozmowy przedstawicieli 7 państw socjalistycznych i 12 NATO trwają 8 lat. I wciąż — jak wiadomo — nie osiągnięto porozumienia. Dopiero co zakończona kolejna tura nie przybliżyła w sposób zadowalający stanowisk obu stron w sprawie redukcji wojsk i zbrojeń w Europie środkowej. A przecież inicjatywy państw socjalistycznych z lipca i listopada ub. roku, w połączeniu ze zgłoszonymi wcześniej, powinny stanowić dostateczną podstawę do skutecznego poszukiwania dróg porozumienia. Czy czas, który pozostaje do rozpoczęcia nowej rundy (14 maja), będzie wykorzystany do przemyśleń i zdeklarowania gotowości uczynienia postępu?

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRZĄSTKIEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NIEMCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

Marian Papis
EPISKOPATU POLSKI TROSKA O OJCZYZNĘ

Fala strajków, jaka wstrząsnęła Polską w lipcu i sierpniu ubiegłego roku i w miesiącach następnych ubiegłego i bieżącego roku, unaocznia wszystkim rzeczywistą sytuację w jakiej znalazł się kraj, jego naród i aparat władzy. Wieloletnie spiętrzające się i wynikające jeden z drugiego błędy zrodziły wielki kryzys. Kryzys nie powierzchowny, wyrażający się takimi czy innymi błędami w polityce personalnej, lub inwestycyjnej, lecz głęboki i rozległy, ogarniający niemal wszystkie dziedziny życia. A więc przede wszystkim kryzys wartości moralnych, zaufania do władzy, do jej zapowiedzi i poczynań, kryzys pracy, która zaczynała tracić sens, planowania, zarządzania, odpowiedzialności. I ten kryzys jeszcze trwa i nie należy się temu dziwić, bo im głębszy upadek, tym trudniej się z niego dźwignąć.

Czy mogło to stanowić niespodziankę dla kogokolwiek? To wszystko można było i należało przewidzieć. W kryzysie jaki przechodzi od sierpnia nasz kraj postawa polskich biskupów, księży i szerokich kręgów laikatu wykazuje głęboką odpowiedzialność. Ogromną rolę w kształtowaniu i nastrojów odgrywały wystąpienia prymasa Polski ks. kardynała *Stefana Wyszyńskiego*, wspierane listami i modlitwą naszego wielkiego rodaka na stolicy Piotrowej — papieża *Jana Pawła II*. W tych wszystkich dniach napięcia biskupi polscy kierując się troską o sprawę najważniejszą, jaką było dobro narodu, powstrzymywali się od wysuwania żądań dotyczących potrzeb Kościoła i ludzi wierzących. Mówili bowiem, iż nie jest na to czas.

SPOJRZENIE KU NIEDALEKIEJ PRZESZŁOŚCI

Pytałem wyżej czy ten kryzys jaki przeżywamy był niespodzianką dla kogokolwiek? Na spotkaniu z kombatantami w dniu 24. I. 1981 r. ks. prymas pośrednio tak na pytanie odpowiedział.

„Dzisiaj po kilku miesiącach tego trudnego procesu odnowy, który się ciągle jeszcze kolebie wiemy, że było to jedynie słuszne. (stanowisko zajęte w homilii jasnogórskiej z 26. VIII. 1980 r.).

Tym więcej, że w innych wymiarach również zwracaliśmy na to uwagę. Mówiliśmy władzom politycznym i państwowym, że droga prowadzi do ciężkiego kryzysu i że trzeba jemu zapobiegać. Przypominam sobie daty: 24 stycznia 1979 r. — rozmowa z ówczesnym I sekretarzem; potem kazanie wygłoszone w Katedrze Świętojańskiej, w dniu 6 stycznia 1980 r., a wreszcie kazanie w dniu 6 stycznia bieżącego roku, w tejże katedrze. To jest właśnie tło myślenia, które było ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem, podobnie zresztą jak trzy serie „kazań świętokrzyskich", które kolejno głosiłem programowo pokazując zagrożenia i drogi wyjścia".

We wspomnianych wystąpieniach kardynał *Stefan Wyszyński* podkreślił, że najgłębszym źródłem kryzysu jest kryzys moralny, kryzys humanistycznej hierarchii wartości, wartości znaczenia wartości moralnych w życiu społeczeństwa, kryzys moralności rodzinnej, społecznej i zawodowej oraz stawiał wniosek, że jedyną z podstawowych dróg wyjścia z kryzysu jest odnowa moralna, polegająca na przywracaniu wartościom moralnym należnego im miejsca w egzystencji narodu oraz na podnoszeniu poziomu moralności w każdej dziedzinie jego bytowania. To zadanie wskazuje na konieczność wielkiej konsolidacji całego społeczeństwa, konieczność wspólnych wysiłków ludzi wierzących i niewierzących, społeczeństwa i władzy, Kościoła i państwa. To jest warunek, którego spełnienie będzie przesądzało o skuteczności wysiłków, podczas gdy jego niespełnienie musiałoby ich skuteczność co najmniej poważnie ograniczyć.

Kościół świadom jest swej odpowiedzialności za poziom moralności rodzinnej, społecznej i zawodowej w Polsce. W tym poczuciu prymas Polski, ks. kard. *Stefan Wyszyński* mówił w pierwszym kazaniu świętokrzyskim (z 6. I. 1978 roku) o potrzebie dokonania wielkiej przemiany człowieka, jego osobowości. *„I od tej przemiany* — dodawał — *zależy zachowanie naszej suwerenności moralnej, kulturalnej, narodowej, społecznej, zawodowej, gospodarczej i religijnej. Widzimy więc* — podkreślał — *jak bardzo spotyka się tutaj Ewangelia z naszymi potrzebami, z zamówieniami współczesnego życia. To są doświadczenia, do których doszliśmy dziś, może nie bez wielkich strat. Ale w rezultacie stwierdzić możemy, że życie religijne ma wielki, dodatni wpływ na życie społeczne i publiczne, że praca Kościoła nie jest postawą wrogości, tylko jest niesieniem pomocy i służby, że musi dojść do głosu chrześcijańska moralność i etyka zawodowa, aby człowiek pracujący czuł się zobowiązany przez zasady moralne do odpowiedzialności nie tylko przed ludźmi, ale i przed Bogiem".*

Pierwsze kazanie świętojańskie, będące wołaniem o wielką przemianę człowieka było jednocześnie wołaniem o właściwą rangę wartości moralnych w życiu społeczno-zawodowym i publicznym, w całym życiu narodu.

Wrócił do tych spraw prymas Polski również w drugim kazaniu świętojańskim (z 6. I. 1980 r.), w którym formułując moralno-społeczne postulaty dotyczące stosunku do Boga, człowieka, do ziemi i do władzy, stwierdził, że *„najważniejszym czynnikiem w ekonomii narodowej, mającym moc uleczania jej, jest etyka, moralność chrześcijańska. Ona jest głównym czynnikiem — i to rozumieją wszyscy ludzie w Polsce, wszyscy — podkreślam. Bez wprowadzenia zasad moralności chrześcijańskiej, a więc obowiązkowości, sumienności i ładu współżycia do naszej codzienności życiowej, nie da się uleczyć porządku społecznego i ekonomicznego w naszej Ojczyźnie i w świecie".*

Nie czym innym, jak realizacją tak pojętej roli Kościoła w społeczeństwie jest nauczanie prymasa Polski. Jego kazania świętojańskie stwarzają niezbędną perspektywę, w której lokuje się zawarta w następnych kazaniach złożona problematyka, wynikająca z aktualnej oceny przez głowę Kościoła polskiego społeczno-politycznej i gospodarczej sytuacji w Polsce.

W OKRESACH WIELKICH NAPIĘĆ

Na dramatyczny protest robotników w sierpniu 1980 r. prymas Polski zareagował już w czwartym dniu strajku. 17 sierpnia, wygłaszając homilię w Wambierzycach w Sanktuarium Matki Bożej Królowej Rodzin, nawiązał do aktualnej sytuacji społeczno-gospodarczej kraju. W jej zakończeniu ks. prymas powiedział: *„Wobec potrzeby chwili, w tej chwili, gdy Ojczyznę naszą napełnia tyle udręk i niepokojów, nie sposób być obojętnym na to, co niepokoi naród i państwo, co niepokoi nasze rodziny i świat robotniczy, który podejmuje starania o należne narodowi prawa moralne, ekonomiczne i kulturalne.*

20 sierpnia papież *Jan Paweł II* w liście do prymasa Polski pisze, że *„w ciągu ostatnich trudnych dni jestem szczególnie blisko: modlitwą i sercem uczestniczę w tych doświadczeniach, przez jakie przechodzi raz jeszcze — moja ojczyzna i moi Rodacy".*

Jeszcze wielokrotnie *Jan Paweł II* podczas cotygodniowych audiencji generalnych, jak i w listach do ks. kardynała *Stefana Wyszyńskiego*, księży biskupów w Gdańsku, Szczecinie i Katowicach, nawiązywał w momentach napięć do naszej sytuacji wspierając moralnie i w modlitwie wysiłki mediacyjne prymasa Polski i Episkopatu.

Również w pierwszej fazie strajków sierpniowych specjalne orędzia do swych diecezjan w związku z wydarzeniami na Wybrzeżu i na Śląsku wydali: biskup gdański ks. dr *Lech Kaczmarek*, biskup szczecińsko-kamieński ks. doc. dr *Kazimierz Majdański* oraz biskup katowicki ks. dr *Herbert Bednorz*. Jeden z nich z uwagi na ton i sposób podzielenia się z wiernymi swojej diecezji najwyższą troską o spokój wewnętrzny przytaczam w całości.

Biskup *Lech Kaczmarek* tak pisał w dniu 23 sierpnia.

„Drodzy Diecezjanie! Nie spełniłbym swego obowiązku jako Wasz biskup, gdybym nie zwrócił się dzisiaj do Was z serdecznymi słowami pasterskiego pouczania w trudnych chwilach jakie przeżywamy.

Starałem się dla Was w ubiegłą niedzielę i dziś o odprawianie przez kapłanów mszy świętej i posługi duszpasterskie. Parafie zanoszą codzienne modlitwy do Pana Boga o odpędzenie ciemnych chmur smutku i niepokoju, jakie zawisły nad Wybrzeżem.

Rozumiałem zawsze i rozumiem Wasze troski, bóle i starania, i to że macie prawo do zabrania głosu w sprawach, które Was bolą. Stanowisku swemu dawałem niejednokrotnie wyraz w rozmowach z władzami. Wszystko jednak musi odbywać się w atmosferze rozwagi, godności, wzajemnego zrozumienia i bez nienawiści. Kierując się przeto, Moi Drodzy, roztropnością nie dajcie się ponosić nieopanowanym uczuciom, emocjom i nie przemyślanym krokom rozjątrzonego gniewu, prowadzącym do zaognienia już i tak trudnej sytuacji, wiodącym z kolei do zamieszek i nie daj Boże rozlewu krwi bratniej.

W deklaracji przez Was wybranej rozpocznijcie rozmowę z odpowiednimi czynnikami. Czyńcie to ze spokojem i godnością, domagając się załatwienia słusznych spraw ale ze zrozumieniem i bez nienawiści.

Pismo Św. mówi, że sprawiedliwość i pokój ucałowały się. Niechże i dziś będzie to prawdą. Pan Jezus w najważniejszej chwili swego życia modlił się o jedność, zgodę i pokój. Czy i dzisiaj nie jest to naszym obowiązkiem? Ufam, że jesteście rozsądni i na pewno zdajecie sobie sprawę z tego, że przeciąganie strajku i przewlekanie aż w nieskończoność nie sprzyja dobru ani Waszemu, ani Waszych rodzin i całego społeczeństwa, a przeciwnie pogłębia jedynie kryzys i napiętą atmosferę w Waszych rodzinach i na całym Wybrzeżu. Stawiajcie postulaty, ale zmierzające — o ile to od Was zależy — do szybkiego zakończenia przerwy w pracy i bardzo smutnych chwil jakie przeżywa wszystkim nam drogie Wybrzeże. Modlę się za Was".

Jak widzimy z przytoczonych listów, w kryzycie jaki przechodził w sierpniu nasz kraj postawa polskich biskupów i księży, którzy byli wśród strajkujących z posługą duszpasterską i szerokich kręgów laikatu wykazała głęboką odpowiedzialność. Ogromną rolę w kształtowaniu nastrojów odegrało wystąpienie prymasa Polski, który 26 sierpnia z Jasnej Góry zwrócił się do całego narodu. Wystąpienie to było nie tylko doraźnym zaangażowaniem w przywracanie zachwianego w sierpniu pokoju społecznego w Polsce, ale także ważnym na wiele lat programem budowania właściwych stosunków w społeczeństwie, programem, który nie jest niczym innym jak programem nieustannego oddziaływania na rzecz pokoju społecznego. Na program ów składają się wygłoszone w kazaniu zasady moralno-społeczne odnoszące się do życia religijno-moralnego, życia rodzinnego, społeczno-zawodowego i narodowego.

W dniu 26 sierpnia na Jasnej Górze obradowało pod przewodnictwem ks. prymasa Rada Główna Episkopatu. W wydanym komunikacie Rada Główna stwierdziła:

„Naród polski potrzebuje prawdziwej odnowy moralnej i społecznej, aby mógł odnaleźć na nowo wiarę w siebie, w swoją przyszłość, zaufanie we własne siły, obudzić energię moralną i ofiarność społeczną dla sprostania wielkiemu trudowi pracy i koniecznym wyrzeczeniom, które wszystkich czekają. Pilną potrzebą jest odbudowanie zaufania między społeczeństwem a władzą, aby we wspólnym wysiłku budować lepszą przyszłość Ojczyzny i zabezpieczyć interesy narodu i państwa".

Są to wskazania, jakimi mają się kierować tak obywatele jak i władze. One wyznaczają linię naszych dzisiejszych wysiłków nad ochroną życia całego kraju. W dniach 10 i 11 grudnia 1980 r. obradowała 177 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski. Biskupi rozpatrywali wiele istotnych problemów a wśród nich wiele miejsca poświęcili aktualnej sytuacji w kraju. W wydanym komunikacie czytamy m. in.: *„Biskupi z głęboką troską o przyszłość naszej Ojczyzny rozpatrywali bardzo złożoną sytuację społeczną, gospodarczą i polityczną w kraju, na tle zadań Kościoła. Dokonujące się przemiany i wysiłki odnowy społeczno-moralnej budzą wiele nadziei, ale nie są wolne od niebezpieczeństw. Wszelka odnowa musi się opierać na trwałych zasadach, które dla chrześcijan wyznacza nauka Chrystusa. Nie wolno podejmować takich działań, które mogłyby narazić naszą Ojczyznę na niebezpieczeństwo zagrożenia wolności i państwowości. Wysiłki wszystkich Polaków muszą zmierzać do umocnienia zapoczątkowanego procesu odnowy i stwarzania warunków wykonania umowy społecznej między władzą a społeczeństwem... Wielorakie trudności, które przeżywa nasz kraj są do pokonania, jeśli wypracowany zostanie w krótkim czasie program odnowy moralnej, życia społecznego, gospodarczego i politycznego przez szerokie warstwy społeczeństwa, możliwy do przyjęcia przez cały naród. Czekają nas trudne lata: wymagać one będą wyrzeczeń, ofiar i poświęceń. Musimy żyć nadzieją, że sens w tym, aby je świadomie podejmować w imię lepszego jutra w wolnej Ojczyźnie. Potrzebna jest zdecydowana wola przeciwdziałania wszelkim próbom zatrzymania procesu narodowej odnowy, skłócenia społeczeństwa i wykorzystania istniejących trudności dla celów obcych wobec dobra narodu i państwa, Kraj nasz potrzebuje przede wszystkim wewnetrznego pokoju, aby ugruntować życie społeczne w atmosferze odbudowującego się wzajemnego zaufania".*

Biskupi skierowali list do narodu, wzywając do chrześcijańskiej odpowiedzialności za Ojczyznę, a dzień 1 stycznia 1981 r. wyznaczyli jako dzień szczególnej modlitwy w intencji Polski za przyczyną Matki Bożej Jasnogórskiej, która od wieków dana jest nam ku obronie.

W związku ze zbliżającą się 10 rocznicą bolesnych wydarzeń na Wybrzeżu, które wstrząsnęły naszym krajem, biskupi zarządzili, aby niedziela 14 grudnia 1980 r. była dniem modlitwy o jedność narodu. *„Zbudowane pomniki dla uczczenia poległych w Gdańsku, w Gdyni i Szczecinie oraz przewidziane obchody w tych miastach i innych miejscowościach kraju powinny zamknąć okres bolesnych doświadczeń. Obchody te wszędzie powinny przebiegać w atmosferze powagi i głębokiej refleksji nad doświadczeniami, które przeżył nasz kraj. Wszyscy muszą zadbać o to, aby uroczystości odbyły się w warunkach spokoju i powagi. W tych dniach najbardziej potrzeba słów modlitwy".* Ten może zbyt obszerny fragment komunikatu, który przytoczyłem, w pełni stanowi, jak i pozostałe spośród wymienionych tu bądź cytowanych wystąpień naszego Episkopatu czy prymasa Polski, dobitne świadectwo tego z jaką ostrością widzą polscy biskupi konieczność spokoju wewnętrznego jako warunku dokonania odnowy moralnej w naszym kraju. Na tle tej konieczności zobowiązująco odczytują odpowiedzialność, która w tym zakresie spoczywa na Kościele w Polsce.

ŻEBY NIE PRZEKROCZYĆ GRANICY POKOJU SPOŁECZNEGO

Mimo, że zdobyliśmy już doświadczenie w lipcu i sierpniu — kiedy w sposób, który zadziwił świat, rozwiązaliśmy groźny konflikt społeczny — doprowadziliśmy w kilka miesięcy później do jeszcze groźniejszej sytuacji. Polityka dialogu zaczęła ustępować miejsca próbom konfrontacji, konfrontacji między władzą, a „Solidarnością". We wszystkich kluczowych wypadkach — od Gdańska Szczecina, Jastrzębia poprzez Bielsko, Jelenią Górę, Rzeszów, Ustrzyki, Łódź, Radom i Bydgoszcz — nie dochodziło do rozmów przy okrągłym stole zanim rozwinął się konflikt. We wszystkich wspomnianych przypadkach dialog był wymuszany strajkami, lub ich groźbą, bądź okupacją gmachów publicznych. Brak w porę uruchomienia mechanizmu dialogu doprowadzał do przedłużających się strajków i naciągania struny.

Tak było m. in. w Bielsku Białej. W styczniu i lutym br. Tu wybitną rolę w rozładowywaniu groźnego konfliktu odegrali wysłannicy ks. prymasa — sekretarz Episkopatu ks. bp. *Bronisław Dąbrowski* i dyr. Biura Prasowego Episkopatu ks. *Alojzy Orszulik*.

W dniu 6 lutego br. prymas Polski przyjął *Lecha Wałęsę* — przewodniczącego KKP i *Patrycjusza Kosmowskiego* — przewodniczącego NSZZ „Solidarność" regionu Podbeskidzie wraz z grupą działaczy tego regionu.

Delegacja wyraziła podziękowanie ks. prymasowi za pomoc, jakiej udzielili przedstawiciele Episkopatu, a szczególnie sekretarz Episkopatu bp. *Bronisław Dąbrowski* w osiągnięciu w dniu 6. II. 1981 r. porozumienia między Komisją Rządową a MKS NSZZ „Solidarność" w Bielsku Białej. Natomiast prymas Polski w krótkim przemówieniu skierowanym do delegacji wyraził zadowolenie z rozwiązania napiętej sytuacji w regionie Podbeskidzia i osiągniętego porozumienia, które przyczyni się do rozładowania napięcia w całym kraju. Następnie prymas Polski zaapelował do przedstawicieli NSZZ „Solidarność", aby w swoim działaniu kierowali się zasadami roztropności i sprawiedliwości, podkreślając, że głównym zadaniem związków zawodowych jest pracować dla dobra warstwy robotniczej i troszczyć się o należyte warunki pracy w zakładach i zabezpieczenie socjalno-bytowe pracowników. *„Należy dokładać starań* — mówił ks. prymas — *aby ten ruch związkowy był autentycznie polski i w swoim działaniu kierował się polską racją stanu. Należy rozładować jak najszybciej napięcia w terenie".*

Na zakończenie ks. prymas jeszcze raz podkreślił *„potrzebę kształcenia kadr związkowych, które będą się kierowały tylko dobrem ludzi pracy i kraju".*

Ledwie zdążyliśmy z wielką ulgą odetchnąć po rozwiązaniu przeciągających się konfliktów w Bielsku Białej i Łodzi, znów zostaliśmy zaszokowani wydarzeniami w Bydgoszczy. W całej naszej powojennej historii nie przeżywaliśmy takiego lęku o dalszą egzystencję narodową i państwową, jak w trzeciej dekadzie marca br. Sprawa bydgoska w powszechnym przekonaniu była powodem najcięższego kryzysu politycznego w dziejach Polski Ludowej. W dniach kiedy Ojczyzna była w niebezpieczeństwie, prymas Polski i jego przedstawiciele w Bydgoszczy — ks. bp. *Jan Michalski* z Gniezna i dr *Romuald Kukułowicz* z Warszawy czynią wiele wysiłków, by doprowadzić do złagodzenia tak ostrego konfliktu. W niedzielę 22 marca br. po mszy św. radiowej ks. prymas kieruje wezwanie do wszystkich Polaków. Słuchamy w nim, że:

Wzrastające niepokoje w społeczeństwie wymagają wzrostu spokoju, równowagi i odpowiedzialności. Biskupi polscy już prosili o spotęgowanie modlitwy w intencji spokoju w Ojczyźnie.

Ale dziś, gdy tak często rodzą się nowe ośrodki niepokoju, trzeba zarówno ze strony władz państwowych jak i inicjatyw społecznych pełnej odpowiedzialności.

Władze państwowe muszą być bardziej świadome, że są na służbie społeczeństwa, poszanowania jego praw do wolności społecznej i możliwości zaradzania jego potrzebom, zgodnie z nakazem szacunku dla całości fizycznej i duchowej każdego obywatela. Władze państwowe muszą liczyć się z następstwami każdego nierozważnego kroku czynników porządku publicznego. A obywatele zmierzający do osiągnięcia słusznych praw społecznych zrzeszania się i rewindykacji ekonomicznych — muszą wiedzieć, że dla osiągnięcia tych żądań, trzeba wiele czasu, cierpliwości i możliwości funkcjonalnych...

Mając na uwadze te zależności i wyrozumiałość, wzrastajmy w umiejętności uzgadniania wzajemnych praw i obowiązków.

Naszą dobrą wolę umacniajmy duchem chrześcijańskiej służby i modlitwy o pokój, rozwagę i spokojny postęp społeczny.

Wszystkich ludzi dobrej woli polecam opiece Królowej Polski i błogosławię".

Niezależnie od tego wezwania, skierowanego do wszystkich rodaków, ks. prymas w tych gorących dniach odbył szereg spotkań i rozmów z wszystkimi osobistościami życia politycznego, państwowego i intelektualnego. Odbył także rozmowę z premierem *Wojciechem Jaruzelskim* oraz z *Lechem Wałęsą* i innymi członkami Prezydium KKP, biorącymi udział w rozmowach z rządem.

Wysiłki mediacyjne ks. prymasa zostały poparte w liście Ojca św. *Jana Pawłą II* skierowanym do prymasa Polski oraz w apelu papieża do rodaków — *„Aby raz jeszcze zwyciężyło poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne, któremu na imię Polska".*

Jeszcze raz rozsądek i rozwaga zwyciężyły. Porozumienie osiągnięto w trudnym dialogu. Właśnie na takie rozwiązanie jak mówił *Lech Wałęsa* miał wielki wpływ ks. kardynał *Stefan Wyszyński*, prymas Polski oraz nasz wielki rodak — *papież Jan Paweł II*.

Taka obywatelsko-formacyjna i mediacyjna działalność Kościoła, nie dzieląca społeczeństwa na rządzących i rządzonych, bo adresowana — niekiedy z gorzką krytyką — i do jednych i do drugich, została przez władze polskie doceniona. Ocena ta od sierpnia miała już miejsce niejeden raz. Ostatnio wysoką ocenę wyraziło wielu posłów. To wysokie uznanie dla prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego i Kościoła katolickiego w Polsce znalazło także swoje odzwierciedlenie w uchwale sejmowej podjętej 10. IV. 1981 r.

Wbrew różnym spekulacjom i obawom Polacy mają dość rozsądku i mocy by własnymi rękami uporządkować swój dom. Ta jedność Polaków w obliczu zagrożenia jest największą rękojmą wyjścia Polski z kryzysu, jej odrodzenia i rozkwitu, ku czemu zmierza Kościół, dążą wszystkie siły patriotyczne, o co ze stolicy Piotrowej modli się błogosławiając te wysiłki nasz wielki rodak w służbie Kościoła powszechnego Ojciec Święty, Jan Paweł II.

Polska jest pod wieloma względami — jak mówił niedawno przewodniczący Stowarzyszenia „Pax" *Ryszard Reiff* — niepowtarzalnym fenomenem. Jest fenomenem przede wszystkim z racji tych kolejnych rewolucji, które się w niej dokonują. Każda następna staje się dojrzalsza, konsumując wszystkie doświadczenia poprzednich. Ta ostatnia zaimponowała światu. Jest bowiem rzeczywistą przemianą wewnętrzną prowadzącą do zmiany zaskorupiałego systemu, ale nie burzy ram ustrojowych.

Polska jest też fenomenem z punktu widzenia roli Kościoła i stosunków Kościół — państwo, które umiejętnie należy wykorzystać dla dobra całego narodu a także socjalizmu, wykorzystać też źródła i wartości uniwersalne, które Kościół przechowuje w naszym kręgu cywilizacyjnym przez tysiąclecia, a które ze wspólną szkodą są jeszcze nie wykorzystywane.

Ale Polska jest także fenomen pod względem działalności laikatu, organizacji świeckich katolików w państwie, mającej charakter niezależny, ale nie rozwiązano jeszcze wielkiego problemu społecznego — a mianowicie miejsca katolików w życiu publicznym. Cały proces odnowy naszego życia i ten problem musi uwzględnić.

Red. Marian Papis jest działaczem katolickim w Stowarzyszeniu „Pax" dziennikarzem „Słowa Powszechnego".

JOLANTA WROŃSKA

NOTATKI NA MARGINESIE PEWNEJ ROZMOWY

We wtorek, 7 kwietnia br. łódzka Unitra-Fonica zorganizowała siłami swej organizacji partyjnej spotkanie z dr Wojciechem Lamentowiczem z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR i z dr Zdzisławem Lekiewiczem z Instytutu Filozofii Akademii Spraw Wewnętrznych.

Zaproponowany temat: „Kryzysy polskie" gwarantował tłok na sali i gorącą atmosferę spotkania. Tak też się stało. Bite pięć godzin toczyła się wielka Polaków rozmowa o wszystkim, co boli, o sprawach narodu, partii, o drogach wydobycia się z topieli.

Z wielowątkowej rozmowy wybrałam i przedstawiam kilka zaledwie tematów, dotyczących spraw partii. Wszyscy dziś rozumieją, że właśnie partia — jej stan, rola przyszła i program — jest kluczem do przeobrażenia polskiej rzeczywistości. Ponadto kwestie, które niżej prezentuję, zbyt słaby, jak sądzę, znajdują wyraz w partyjnych dyskusjach, choć należą do zagadnień fundamentalnych. Tego rodzaju rozmowy, jak omawiana, winny się, według mnie, stać powszechne.

Owe wybrane tematy obejmują problem struktury organizacyjnej partii — istniejącej i postulowanej — problem frakcyjności i leninowskich zasad życia partyjnego.

Zagadnienie struktury partii dyskutowano pod kątem rodzących się oddolnie inicjatyw nawiązywania kontaktów między organizacjami partyjnymi szczebla ponadzakładowego. Właśnie to zjawisko stanowi nowy element w zmieniającym się obliczu partii. Nowy i bardzo ważny.

Dotychczas struktura partii opierała się wyłącznie o układ pionowy, mocno zhierarchizowany. Kierownictwo dysponowało przez to niebywale skutecznym instrumentem dyrektywnego manipulowania dołami partyjnymi. Istniała tendencja — jak wynikało z dyskusji — nadal twardo broniona, do świadomego „pionowego separowania" poszczególnych organizacji partyjnych różnych środowisk i regionów. Cel był oczywisty. Jeden kierunek — góra-dół płynących dyrektyw, poleceń, roszad kadrowych, zapewniał utrzymanie w ryzach mas członkowskich. Ścisła kontrola i dawkowanie informacji strzegły „górę" przed kontrolą szeregowych członków. Słowem — „dół" partii wiedział tylko to i tylko tyle, ile uznało za stosowne przekazać kierownictwo. Sytuacja taka doskonale pomagała egzekwować zasadę: nie myśleć, broń Boże nie dyskutować, wykonywać polecenia wyższych instancji. Instancjom zwierzchnim dawało to poczucie bezkarności i przeświadczenie o własnym monopolu na jedynie słuszną intepretację i marksizmu, i praktyki politycznej.

Dlatego też szczególną uwagę w rozmowie zwracano na to, że nawoływanie do rygorystycznego przestrzegania dyscypliny partyjnej, podporządkowania się władzom centralnym, straszenie utratą operatywności przez partię, odczuwane jest właśnie jako próba zdławienia ozdrowieńczej dla partii dyskusji. **Teraz jednak jest pora na generalny rachunek sumienia, po którym partia może zyskać konieczną wiarygodność w społeczeństwie. Nie sposób tego rachunku dokonywać, kierując się sztywnymi zasadami „pionowej" podległości.** Uczestnicy rozmowy wyrażali przekonanie, że **dalsze utrzymywanie monopolu kierownictwa na niekontrolowanie ocen i posunięć, stanowi zaporę na drodze przemian.**

— Partia to nie poszczególni działacze szczebla centralnego: partia to trzy miliony członków i na nikogo nie można cedować prawa i obowiązku myślenia. Centralizm demokratyczny — mówiono — oznaczać musi zarówno to, że kierownictwo partii bez mandatu zaufania wszystkich członków partii nie zdziała niczego, jak i to, że każda decyzja rangi ogólnospołecznej, nim stanie się zdyscyplinowaniem w realizacji, musi być poprzedzona autentyczną dyskusją.

Jeśli zaś kto wysunie zarzut zamieniania partii w niezdolny do działania klub dyskusyjny, niech pamięta, że Lenin za zaletę uważał liczne i wcale nie błahe kontrowersje, jakie istniały w Komitecie Centralnym WKP(b), już po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji. Co, jak wiadomo, wcale nie zmniejszało skuteczności działania politycznego. A sytuacja Rosji lat 1918-1924 była znacznie trudniejsza. Zwracano też uwagę w dyskusji, że tworzące się ponadzakładowe więzi organizacji partyjnych stwarzają jedynie właściwą podstawę centralizmu demokratycznego. **Struktura sieci wzmacnia rolę i siłę oddziaływania mas partyjnych, a jednocześnie gwarantuje prawdziwą dyscyplinę wykonywania świadomie przyjętych, nie narzuconych decyzji.** Ma to jeszcze jeden ważny aspekt, mocno podkreślany przez dyskutantów, a mianowicie — **zapobiega blokowaniu się kanałów informacyjnych w partii.** Dotąd tak się działo, że z dołu do góry szły wnioski, postulaty, ostrzeżenia, np. przed nadciągającym kryzysem. Informacje te utykały po drodze bez odpowiedzi, zaś z góry nieprzerwanie płynęła lawina beztroskich komunałów nie mających nic wspólnego z rzeczywistą sytuacją. Silne struktury regionalne, ściśle powiązane poziomo, są w stanie zapobiec tej atrofii, będącej jedną z przyczyn utraty skuteczności działania.

Problem struktury partii łączy się bezpośrednio z kolejnym wątkiem dyskusji, z zagadnieniem frakcji wewnątrzpartyjnych. O wadze tej kwestii świadczyła gorąca debata, jaka rozgorzała na sali. Przedstawiano wiele różnych racji. W rezultacie wyłonił się pogląd, który spróbuję tak scharakteryzować. Pryncypia ideowe są — jak podkreślano — niepodważalne. Oczywiste są też elementarne wymogi organizacyjne. **Nie może to jednak oznaczać używania określeń „frakcja", „frakcyjność", jako wytrychów i straszaków używanych przy każdej sposobności, zwłaszcza w momentach ożywiania się oddolnych inicjatyw.** Marksizm musi być twórczo rozwijany i to, co dobre było lat temu osiemdziesiąt, niekoniecznie odpowiada dzisiejszej sytuacji.

Pojęcie frakcyjności w ruchu robotniczym wiąże się z II Zjazdem SDPRR w 1903 r., który przyniósł walkę Lenina i jego zwolenników o nowy statut partii rosyjskich socjaldemokratów, opierający się na kręgosłupie centralizmu demokratycznego i ścisłej dyscypliny organizacyjnej. Stąd wniosek Lenina o umieszczenie w tym statucie wyraźnego zakazu tworzenia frakcji rozbijających jedność partii. Tej walki z ekonomistami (rosyjska odmiana bernsteinistów), Lenin nie wygrał i w efekcie sam dokonał rozłamu w partii socjaldemokratów, na frakcje bolszewików i mienszewików (!) Tylko, że wtedy chodziło o zupełnie inną sprawę i inna była sytuacja w międzynarodowym ruchu robotniczym. **Był to czas wzmożonej aktywności nurtu rewizjonistycznego, działającego pod egidą Bernsteina. Nurt ów podważał nie tylko istotę myśli Marksa i Engelsa, lecz — przede wszystkim — poważnie groził rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu w jego walce o władzę.** Rewizjonizm odrzucał walkę rewolucyjną, walkę o władzę polityczną, o nowe państwo i społeczeństwo, to zaś skazywało na klęskę sam cel istnienia partii, robotniczych. Dlatego Lenin, tworząc nowe zasady organizacyjne partii proletariatu, walczył o zachowanie czystości myśli marksowskiej i o zdolność partii do skutecznej walki politycznej. Dla tego żywotnego celu konieczny był centralizm demokratyczny i zakaz frakcyjności. Chodziło o partię, operacyjną jak wojsko. Bo też i walka była o istnienie. Partia dążąca do obalenia całego istniejącego porządku, by sprostać wrogom, musi działać z żelazną dyscypliną.

Czymś jednak zupełnie innym jest partia sprawująca władzę od niemal czterech dziesiątków lat! To już jest partia, nie tylko jednej klasy i nie tylko jej interesów strzeże. To jest partia zobowiązana do legitymowania swej władzy poparciem całego społeczeństwa. Zatem zmianie ulec musi forma działania i struktura. Sprawowanie władzy jest zadaniem nieporównanie trudniejszym, wymagającym elastyczności, wiedzy i wyobraźni. Sztywne trwanie przy uświęconych, a nie pasujących do zmieniających się warunków społecznych zasadach, zawsze prowadzi do alienacji, autokratyzmu, utraty bazy społecznej.

Wniosek z owej dyskusji nasuwał się oczywisty. Powrót do źródeł marksizmu-leninizmu. Powrót twórczy. Ileż szkody wyrządziła partii płycizna intelektualna życia partii, „marksizm pałacowy" — jak bardzo utrudniał on, bądź uniemożliwiał nawet proces reform. Stąd konieczność naturalnego ścierania się w życiu partii różnych poglądów.

Mówiono podczas spotkania, że straszak frakcyjności pada z ust tych, którzy boją się takiego starcia. Tylko lęk przed uczciwą dyskusją powoduje nie przemyślane oskarżanie członków własnej partii. **Nikt, nawet kierownictwo, nie ma patentu na nieomylność i wyłączność decydowania co jest, a co nie jest słuszne.** To jest niepodważalne prawo całej partii. Każda partia, także komunistyczna, jeśli jest żywym, rozwijającym się organizmem, nie jest i nie może być monolitem. Różnice w koncepcjach działań, ocenach, są rzeczą najzupełniej naturalną. Źle jest, gdy ich nie ma. Oznacza to albo fałszywą fasadę, albo nijakość polityczną.

Jak podkreślali dyskutanci, rzecz nie w ucinaniu różnic poglądów „na wszelki wypadek", lecz w wyciąganiu pożytku z takich różnic. Wiąże się z tym właściwe rozumienie leninowskich zasad życia partyjnego. Normy regulujące życie partii ściśle winny odpowiadać konkretnym warunkom społecznym, w jakich przychodzi działać. Rozwijające się społeczeństwo wymaga dostosowania się partii do kierowania nim. Tylko wtedy będzie ona prawdziwą przodującą siłą polityczną.

Na koniec przytoczyć wypada zdanie, które — jak klamra — spięło całość: To nie brak dojrzałości społeczeństwa staje w poprzek słusznej polityce władzy. To głupota władzy jest rodzicielką wszelkich kryzysów.

„PARTIA I PRASA"

Pod takim tytułem: „Partia i prasa" zamieściłem w 12 numerze „Odgłosów" (22 marca 1981 r.) artykuł poświęcony rozważaniom o współczesnym modelu prasy partyjnej. Artykuł ten wywołał sprzeciw Zenona Lesienia, który nadesłał do redakcji obszerny list polemiczny. List ten, z niewielkimi skrótami, tych części listu, gdzie autor porusza sprawy trzeciorzędne, cytuję poniżej.

L. Włodkowski podaje, że zetknął się z dwiema skrajnymi opiniami o prasie partyjnej. Pierwszą z nich, niektóre gazety partyjne cytuje „przyczaiły, przycupnęły zatrzymały w rozwoju i oczekują, że lada moment nadejdą wytyczne z Warszawy". Opinia druga — „pojęcie zagraniczna prasa". Co do pierwszej opinii L. Włodkowski poucza, w jaki sposób należy redagować gazetę partyjną, rolę zespołów redakcyjnych, rolę gazety w konkretnych warunkach regionu. Zawsze łatwiej, przynajmniej do chwili obecnej jest to, że pouczamy zawsze innych, mam na myśli inne zespoły gazet partyjnych, jak to czyni L. Włodkowski. Pod jego przewodnictwem „Głos Robotniczy" czyni to samo, co inne gazety partyjne.

Opinia druga to kilka zdań polemicznych bez podania konkretnego działania prasy partyjnej na dziś i na przyszłość.

L. Włodkowski stwierdza jakie są warunki. Brak papieru. Ale w przyszłości żądanie ukazywania się gazet 6 razy w tygodniu muszą być spełnione. Brak precyzyjnej odpowiedzi? Ile jest niepotrzebnych druków, różnego rodzaju sprawozdawczości nieprzydatnych pism, afiszy i plakatów, które nie służą jako informacja lub reklama, ale zakrywa się nimi brzydotę płotów — jak np. pl. Wolności — Nowotki, Piotrkowska przy zbiegu Zamenhofa i w wielu innych punktach miasta. Można wyliczyć więcej. Makulatura jest, są konkursy międzyszkolne, w zbiórce, a mimo to nie zawsze ma kto je skupić. Później okazuje się, że przemysł nie jest w stanie jej przerobić itd. Nasuwa się pytanie: dlaczego prasa partyjna pod przewodnictwem L. Włodkowskiego ostro nie stawia tych spraw na swych łamach? Mogę sądzić, że artykuł w „Odgłosach' można było pisać na okrągło. Jest to tygodnik Społ.-Kult. W prasie partyjnej L. Włodkowski nie mógłby pouczać innych. Ja mam większe uznanie w odnowie dla publicystycznych i krytycznych ocen, jakie ukazują się w „Odgłosach", aniżeli w „Głosie Robotniczym" — prasie partyjnej, którą reprezentuje L. Włodkowski.

Prawdą jest tylko to, że gazety i tygodniki rozchodzą się w sposób błyskawiczny. Jest ich mało. Prawda jest również i taka, że obecnie kupuje się wszystkie gazety w celu porównania podawanych informacji radia, telewizji i gazet. Okazuje się, że radio podaje więcej, w telewizji już jest mniej, a w prasie partyjnej takowej informacji w ogóle nie ma. Traci ona zaufanie, a hasło lansowane w niej: „nie wierzysz gazecie, nie wierzysz partii" jest nie do przyjęcia. Jest jeszcze wiele przyczyn, dla których się wykupuje i to masowo. Wykup z kiosków „Ruchu" w ilościach hurtowych w celu dalszej odsprzedaży po wyższych cenach, jak to miało miejsce w podziemiach przy Dw. Fabryczna, to objęto już zakłady pracy. A tygodniki, które podają coś nowego sprzedawane są po grubo wyższych cenach na bazarach. Informacja w prasie partyjnej nie zmieniła swej formy, publicystyka znikoma. A więź z Czytelnikami fatalna, można do niej pisać ale bezskutecznie choć niedoskonały Statut partyjny w I rozdziale głosi: „Członkowie partii ich obwiązki i prawa" w pkt. 3 zobowiązuje prasę partyjną. Tak było. I tak jest jeszcze obecnie (...)

I jeszcze jedno. Prasa partyjna znaleźć się musi jej rola i zadania w Statucie partyjnym przyjętym na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR w takim ujęciu, aby nie było różnych interpretacji z obu stron, aby również można było ją z tych zobowiązań rozliczać.

ZENON LESIEŃ

Zawsze mnie cieszy każdy list od Czytelnika, nawet taki, w którym piszący ze mną się nie zgadza. Chętnie też — w miarę możliwości — polemizuję z autorami takich listów. Są jednak argumenty, z którymi można polemizować, a niekiedy nawet trzeba i są insynuacje czy pomówienia, z którymi polemizować ani nie można, ani nawet wypada. Z. Lesień uważa, że ja pouczam innych. Bóg z nim, niech sobie tak myśli. Mnie się wydawało, że po prostu prezentuję zasłyszane opinie i wyrażam na ten temat swój pogląd. Jak tu więc polemizować z czyimiś odczuciami? Podobnie nie mogę ustosunkować się do poglądu Z. Lesienia na temat „Głosu Robotniczego", gdyż jest to jego sąd subiektywny, a ostatnio zdarzyło mi się słyszeć tyle sprzecznych opinii na temat naszej partyjnej gazety, że byłoby niemożliwością polemizować z każdą. Cieszyć się natomiast tylko wypada, że gazeta ta wywołuje takie zainteresowanie. Wniosek stąd, że jest ona bliska czytelnikom, że ich obchodzi, a to już sporo dla zespołu, który chce tę gazetę robić jak najlepiej, właśnie robić ją dla czytelników.

Z. Lesień ma do mnie pretensje, że ja nie odpowiadam precyzyjnie w sprawie papieru, a „Głos Robotniczy" nic w tej sprawie nie zrobił. Wiem, że wielu czytelnikom „GR" trudno jest dostawać codziennie gazetę, przed kioskami kolejki, gazeta nie ukazuje się regularnie o jednej porze, stąd być może nie każdy zauważy wszystko, co się publikuje na jej łamach. W takiej sytuacji nie należy jednak wyrażać swoich opinii. Jest bowiem nieprawdą, że „GR" nie zabierał w tej sprawie głosu, czynił to kilkakrotnie piórem red. Jerzego Palki i będzie czynił dalej.

Ale sprawa wcale nie na tym polega. Dość dawno temu na łamach „Odgłosów" zwracałem uwagę, że problemu papieru, a właściwie jego braku nie można traktować globalnie. Papier bowiem papierowi nie jest równy. Otóż — jeśli w ostatnich latach wzrosła produkcja papieru i tektury, to nie wzrastała produkcja papieru do druku gazet i książek. Gazety i książki nie wydrukuje się na każdym papierze. Co nie znaczy, że nie należy oszczędzać papieru. Tylko to oszczędzanie trzeba rozumieć właściwie. Oszczędzanie papieru w jednej dziedzinie nie zwiększa jego ilości w drugiej. Nie działa tu automatyzm. W gazetę po przeczytaniu można coś zapakować, ale gazety nie wydrukuje się na papierze do pakowania.

Z. Lesień zarzuca mi, że w „prasie partyjnej nie mógłbym pouczać innych". Pomijam już ciągle powtarzaną insynuację, że moim zamiarem było kogoś pouczanie. Mniejsza o to. Natomiast chciałbym przypomnieć Z. Lesieniowi, że dokładnie 4 dni wcześniej, bo w poniedziałek 19 marca 1981 roku, na łamach „GR" ukazał się mój artykuł pt. „Gazeta partyjna", który szeroko wyjaśniał mój pogląd na współczesne pismo partyjne. Być może Z. Lesień tego dnia nie dostał „GR" w kiosku, być może w ogóle rzadko czytuje gazetę, którą próbuje oceniać.

Jak inaczej mam zrozumieć próbę przeciwstawienia „GR" „Odgłosom". Taką próbę może bowiem podjąć tylko ktoś, kto nie rozumie różnicy między gazetą codzienną a tygodnikiem. Można się zgodzić, że publicyści „GR" wiele jeszcze powinni zrobić, aby na łamach pisma partyjnego ukazywały się artykuły publicystyczne wysokiego lotu. I do tego zmierzają. Można więc krytykować publicystykę „GR", ale to jest zupełnie inna sprawa. Gazeta musi przede wszystkim reagować szybko, co nie znaczy, że nierzetelnie, że powierzchownie i tak dalej. Tak dalej dlatego, że boję się, iż Z. Lesień znów mnie posądzi, że go pouczam.

I znów czegoś nie rozumiem, Z. Lesień ma za złe gazecie partyjnej, że się nie zmieniła. Jego prawo. Ale ma też za złe, że szybko znika z kiosku, że nawet masowo się ją wykupuje, aby później sprzedawać po wyższych cenach. Tygodniki zresztą podobnie. Czy dzieje się tak dlatego, że pism w ogóle brakuje, czy też dlatego, że coś tam można znaleźć ciekawego, a czasem mądrego? Czy rzeczywiście wszystkie pisma tak szybko znikają z kiosków?

W dość pokrętnym zdaniu Z. Lesień zarzuca „GR", że nie ma więzi z czytelnikami, i że nie wywiązuje się z obowiązku statutowego i nie publikuje wszystkiego, co do gazety pisują czytelnicy. Pragnę więc wyjaśnić, że jeśli chodzi o więź z czytelnikami, to żadnemu pismu nigdy jej dosyć, że wyraża się ona telefonami do redakcji, jak też i listami. Gdyby każda gazeta chciała drukować wszystkie listy i tylko listy, to czytelnicy natychmiast by się przeciw temu zbuntowali i słusznie. Listy są uważnie czytane — ja osobiście nie czytuję anonimów — są analizowane. Te, które nadają się do druku, ukazują się na łamach „GR". Jest ich i będzie coraz więcej.

I to by było na tyle — jak mawiał J. Stanisławski. Mógłbym tę polemikę z Z. Lesieniem opublikować na łamach „GR", gdyż tej gazety dotyczy, ale ponieważ artykuł „Partia i prasa" drukowałem w „Odgłosach", list Z. Lesienia przyszedł do „Odgłosów", korzystam więc z prawa przysługującego mi do tego, aby i odpowiedź ukazał się na łamach „Odgłosów", których jestem przecież stałym współpracownikiem.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Jaka demokracja?

Rozmowa z delegatami na XII Kongres Stronnictwa Demokratycznego

„ODGŁOSY": Zakończony niedawno XII Kongres Stronnictwa Demokratycznego wzbudził ogromne zainteresowanie społeczeństwa. Wiemy z prasy, że jego obrady zostały przedłużone, że nastąpiła niemal całkowita wymiana władz centralnych. Był to więc na pewno kongres inny jakościowo. Czy mmay także do czynienia z innym Stronnictwem Demokratycznym?

LECH GĄSECKI — członek CK SD, przewodniczący ŁK SD: Jest to na pewno to samo Stronnictwo Demokratyczne, ale jednocześnie partia polityczna, które chce wreszcie realizować swój od dawna nakreślony program. Tradycją sięgamy do Towarzystwa Patriotycznego, a nawet do twórców pierwszej w Europie demokratycznej konstytucji zapisanej w historii jako Konstytucja 3 Maja. Stąd kongres uchwalił dzień 3 maja naszym świętem partyjnym.

U założeń programowych klubów demokratycznych, które powstały w 1938 r. leżała realizacja haseł: niepodległość, wolność, równość, sprawiedliwość, tolerancja i postęp. Żadne z tych haseł nie straciło na aktualności.

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO — wiceprzewodniczący ŁK SD: Z tym, że na kongresie ujęto te zasady w trzech słowach: patriotyzm, demokracja, postęp. Stronnictwo już po raz któryś zadeklarowało się jako partia radykalnych demokratów.

„ODGŁOSY": Co więc się zmieniło?

LECH GĄSECKI: W ciągu dziesięciolecia zmieniło się sporo. Na X Kongresie ukształtowano SD jako partię funkcjonalną, która miała się zająć określonym wycinkiem gospodarki. W związku z tym w orbicie zainteresowania Stronnictwa znalazł się określony krąg ludzi reprezentujących przede wszystkim rzemiosło handel, drobną wytwórczość oraz usługi. XI Kongres niejako potwierdził tę linię.

WŁADYSŁAW RZYMSKI — sekretarz ŁK SD: To prawda, ale trzeba jednocześnie stwierdzić, że realizując tę linię SD wykonało sporo dobrej, konkretnej roboty. Niezręcznie jest się dziś chwalić, ale rzuca się w oczy, że są to dzisiaj jedyne dziedziny gospodarki, które mogą odnotować postęp, nie zaś regres. Po prostu Stronnictwo zapewniło ludziom zatrudnionym w tych działach gospodarki stabilność działania, wpłynęło także na ich aktywność społeczną i polityczną. Dość powiedzieć, że rzemiosło łódzkie, a są to dane łódzkiej Izby Rzemieślniczej, dostarczyło w ostatnim pięcioleciu towarów rynkowych i usług o wartości 25 mld zł. Chodzi o rynek ogólnokrajowy.

LECH GĄSECKI: Miało to jednak także złe strony. Przy tak ukierunkowanej linii działania zapomniano jakoś o drugiej podstawowej bazie społecznej Stronnictwa, zapomniano o inteligencji. A przecież inteligencja stanowi 70 proc. członków naszej partii. Inteligencja czyli usługodawcy intelektualni. Przyjęło się, że Stronnictwo ma reprezentować warstwy pośrednie jeśli chodzi o krąg ludzi, a w sferze gospodarczej usługi materialne i niematerialne. Była to jednak drażniąca pseudonimacja, gdyż przez pojęcie „usługi niematerialne" nie można w żaden sposób określić tego, co świadczy a raczej tworzy inteligencja polska, której rola jest chyba w dalszym ciągu nie doceniana. Nie docenia się zresztą także „usług materialnych", do czego, niestety, przyczyniła się prasa. Protestujemy przeciwko określaniu rzemieślników, kupców czy usługowców mianem prywaciarzy. Równie niesprawiedliwe jest słowo badylarz. Niesprawiedliwe i obraźliwe w stosunku do ludzi, którzy ciężką pracą wnoszą wymierne wartości gospodarcze.

„ODGŁOSY": Stronnictwo Demokratyczne działa w sojuszu z PZPR i ZSL. Ostatnio, niemal ze wszystkich środowisk, rozlegają się krytyczne głosy wymierzone przeciw tzw. nomenklaturze. Jaki jest stosunek Stronnictwa Demokratycznego do tego zagadnienia?

LECH GĄSECKI: Udział SD w nomenklaturze jest praktycznie żaden. Proponowaliśmy tylko określone osoby z naszej partii, które niejako były dopasowywane do nomenklatury właściwej. Innymi słowy członkowie SD byli objęci obowiązującą nomenklaturą, ale na ukształtowanie tej nomenklatury nasza partia nie miała wpływu. Jak się orientuję, pośród łódzkich dyrektorów przedsiębiorstw członkowie SD reprezentowani są dosłownie w promilach i wynika to nie tyle z uzgodnień partyjnych, ile z naturalnej kariery zawodowej. Nasz Łódzki Komitet SD rekomendował natomiast jednego z wiceprezydentów miasta Łodzi oraz zastępców naczelników dzielnic Górna i Polesie.

WŁADYSŁAW RZYMSKI: Mamy w sumie 90 radnych szczebla podstawowego i 17 radnych szczebla wojewódzkiego.

LECH GĄSECKI: Jako radny i wiceprzewodniczący Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Śródmieście, na podstawie własnych obserwacji i informacji jakie uzyskuje nasz komitet mogę stwierdzić, że członkowie SD wypełniają w 100 proc. swoje obowiązki we władzach przedstawicielskich.

„ODGŁOSY": Odbiegliśmy nieco od zasadniczego tematu naszej rozmowy to znaczy od oceny ostatniego Kongresu SD. Choć informacje, jakie tu usłyszałem mają bezpośredni związek ze sprawą funkcjonowania demokracji w naszym kraju. Ze skąpych informacji prasowych, jakie ukazały się po kongresie, można wydedukować, że był to zasadniczy leit-motiv obrad?

LECH GĄSECKI: Rzeczywiście hasło XII Kongresu SD można ująć w jednym zdaniu: urzeczywistnienie demokracji w socjalizmie. Nie zjawiło się ono przypadkowo. Nie wolno nie dostrzegać, że w powojennej historii Polski mieliśmy szereg wstrząsów politycznych noszących miano kryzysów. Rok 1948, 1956, 1968, 1970, 1976 i 1980. Czy za każdym z tych kryzysów kryje się tylko jakiś fatalizm polityczny? Czy chodzi tu o działanie określonych mechanizmów politycznych?

Postawmy jeszcze jedno pytanie: z czym kojarzy się przeciętnemu Polakowi demokracja? I spróbujmy na nie odpowiedzieć: jest to suma swobód, wolności i praw obywatelskich. Otóż nie ulega wątpliwości, że lata siedemdziesiąte były najkorzystniejsze pod względem realizacji tych praw. Stąd wniosek, że prosta suma swobód jest niewystarczająca do zapobieżenia kryzysowi. Trzeba stworzyć instytucje ustrojowe, które wprawią w ruch mechanizmy demokracji, harmonijny system współpracujących ze sobą mechanizmów.

Potrzebne więc są instytucje gwarantujące urzeczywistnianie demokracji. Musi istnieć prymat Sejmu w kraju i władz przedstawicielskich w terenie. To znaczy, że inicjatywy polityczne nie powinny przechodzić automatycznie na władze wykonawcze nie powinny być kierowane bezpośrednio do premiera czy ministrów. Jeszcze większe niebezpieczeństwa istnieją na szczeblu wojewódzkim.

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO: Partie polityczne wypracowując porozumienia powinny przekazać je organowi przedstawicielskiemu. W razie niedojścia do porozumienia każda z partii powinna przedłożyć swoje propozycje organom przedstawicielskim do rozstrzygnięcia.

LECH GĄSECKI: Temu mechanizmowi musi towarzyszyć odpowiedni system instytucjonalny, bo mamy w Polsce pod tym względem spore zamieszanie. Konstytucja stanowi, że nad zgodnością ustaw z konstytucją czuwa Rada Państwa. Ale Rada Państwa nie ma praktycznie możliwości wypełniania tego obowiązku. Trzy czwarte norm prawa w Polsce to przecież prawo powielaczowe stojące najczęściej w sprzeczności z aktami wyższego rzędu. Można nawet powiedzieć, że u nas istnieje wielość porządków prawnych. Są przecież samoistne uchwały Rady Ministrów nie mające odbicia w konstytucji. Także ministrowie mają uprawnienia do stanowienia prawa. Są to tzw. zarządzenia. I wiele ustaw odsyła do rozporządzeń resortów. A z konstytucji wynika, że relacje między władzą i obywatelem może regulować tylko ustawa.

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO: Dlatego potrzebny jest Trybunał Konstytucyjny badający zgodność aktów prawnych z konstytucją i konwencjami międzynarodowymi w tym z Paktami Praw Człowieka i Obywatela. A są to druki dziś praktycznie niedostępne, łącznie z konstytucją.

Stoimy także na stanowisku potrzeby powołania Trybunału Stanu dla pełnej realizacji hasła równości wszytkich wobec prawa. To bardzo ważne wobec powszechnego dziś żądania rozliczeń osób odpowiedzialnych za spowodowanie kryzysu. Taką odpowiedzialność mógłby ustalać właśnie Trybunał Stanu wobec kierownictw resortów, za działania lub zaniechania powodujące określone skutki społeczne.

LECH GĄSECKI: Stoimy także na stanowisku, że nie można łączyć mandatu posła z funkcją rządową. Chodzi tu o kontrolę działań rządu przez Sejm i uniemożliwienie manipulowania posłami.

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO: Uważamy wreszcie, że w naszym kraju powinna istnieć instytucja prezydenta RP. W takie prerogatywy powinien być wyposażony przewodniczący Rady Państwa jako ta osoba, która proponuje Sejmowi kandydata na premiera. Bo Rada Państwa jest w zapisie konstytucyjnym kolegialną głową państwa. Brak jej jednak podstawowego atrybutu głowy państwa jakim jest uprawnienie do powoływania szefa rządu.

„ODGŁOSY": Wróćę do mojego pierwszego pytania nieco zmodyfikowanego. Jak więc oceniacie panowie XII Kongres SD?

WŁADYSŁAW RZYMSKI: Ten kongres był przełomowy. Planowany był na trzy dni, przeciągnął się do pięciu, w tym były trzy noce obrad. I cechowała go atmosfera odpowiedzialności. Za losy kraju i SD.

LECH GĄSECKI: Wszystkie delegacje były rzeczywiście zaangażowane w tok dyskusji. Przyjechały na kongres z doskonale przygotowanymi materiałami i przemyśleniami.

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO: Ten kongres był niesłychanie rzeczowy. Wszystkich delegatów cechowała wola stworzenia rzeczywistego programu politycznego.

LECH GĄSECKI: Chcieliśmy, aby w trójpartyjnym systemie nasza partia stała się rzeczywistym partnerem o autonomicznym i samorządnym charakterze. Chodziło nam o wypracowanie autentycznego oryginalnego i w pełni własnego programu dotyczącego całości życia społeczno-politycznego i gospodarczego kraju.

WŁADYSŁAW RZYMSKI: Na swoim kongresie SD nie zamknęło się w ramach tradycyjnie podejmowanej tematyki. Poszliśmy znacznie dalej.

LECH GĄSECKI: Miarą zainteresowań kongresu są uchwalone na nim rezolucje: „W sprawie pokoju, bezpieczeństwa i współpracy międzynarodowej", „W sprawie inteligencji", „W sprawie ochrony i kształtowania środowiska". Został uchwalony nowy program SD i nowa deklaracja polityczna. Została także podjęta uchwała o objęciu patronatem politycznym, przy zachowaniu pełnej suwerenności programowej, nowo tworzącego się Związku Młodzieży Demokratycznej.

„ODGŁOSY": Czy ten przełomowy charakter kongresu był dla panów zaskoczeniem?

LECH GĄSECKI: Urzeczywistnianie demokracji rozpoczęło Stronnictwo od Sierpnia przez opracowanie demokratycznej ordynacji wyborczej. Przewodniczącego CK wybiera się w tajnym głosowaniu z co najmniej trzech kandydatów. Również członków prezydium i wszystkie organy przedstawicielskie wybiera się w głosowaniu tajnym. Bezpośrednio po wydarzeniach gdańskich, od września ubiegłego roku weszliśmy w kampanię wyborczą we wszystkich ogniwach. Kongres jest podsumowaniem dorobku przemyśleń, które zrodziły się na najniższych szczeblach. Szereg materiałów kongresowych zostało opracowanych przez działaczy szczebla podstawowego.

„ODGŁOSY": Czy wyniki kongresu wpłynęły na wzrost zainteresowania waszą partią wśród tych kręgów społecznych, które do tej pory cechowała umiarkowana aktywność społeczna?

LECH GĄSECKI: Rozumiem, że chodzi tu o praktyczne skutki tego wzrostu zainteresowania problematyką pracy naszej partii. Cechuje nas umiarkowany optymizm, ale wierzę, że będzie to optymizm pełny jeśli uda nam się podtrzymać zapał, który cechuje dziś naszych członków. Nie odnotowaliśmy wprawdzie wzrostu szeregów partyjnych, ale ogromne zainteresowanie problematyką SD poza Stronnictwem jest faktem. Myślę, że nie od rzeczy będzie więc zapoznać społeczeństwo z IV punktem naszej deklaracji, który najpełniej określa intencje SD. Brzmi on:

„Urzeczywistnianie demokracji w socjalistycznym państwie polskim — to nasz patriotyczny obowiązek który przyjmujemy na siebie w poczuciu odpowiedzialności za współczesność i przyszłość Polski. Dźwignięcie tego obowiązku będzie wymagało od każdego Polaka, od wszystkich sił patriotycznych naszego społeczeństwa, od każdego członka Stronnictwa Demokratycznego odwagi, konsekwencji, a nade wszystko rzetelnej, ciągłej pracy.

Kontynuujemy drogę politycznego działania zbieżną z partiami sojuszniczymi. Wiemy, że na tej drodze napotkamy siły przeciwne socjalizmowi — i przeciwne demokratycznym metodom budowania socjalizmu. Przeciwstawimy im się na drodze rozwiązań politycznych, zgodnych z konstytucją.

Niech więc nam przyświecają słowa jednego z twórców myśli politycznej naszego Stronnictwa, Stanisława Kulczyńskiego: „Społeczeństwu należy mówić prawdę, zawsze prawdę i społeczeństwo uczyć prawdę tę wybierać."

„ODGŁOSY": Myślę, że uchwalenie tej deklaracji nie przyszło z łatwością?

WŁADYSŁAW RZYMSKI: W czasie ostrej i bardzo polemicznej dyskusji nie było ani jednej wypowiedzi przeciwko ustrojowi i sojuszom.

„ODGŁOSY": Poruszyliście tu, panowie, problem młodzieży. Jak SD widzi sprawy młodego pokolenia?

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO: Trzeba zacząć od pewnych przypomnień aby uwypuklić sprawę Związku Młodzieży Demokratycznej. Otóż związek o tej nazwie istniał do roku 1948. Potem został wchłonięty przez ZMP. Ale po Październiku, w roku 1957, powstała koncepcja utworzenia Związku Młodych Demokratów. Z taką inicjatywą wystąpił ośrodek łódzki i warszawski. Zanim jednak ta inicjatywa została skonkretyzowana, grupy inicjatywne uległy likwidacji. Na przeszkodzie do powołania Związku Młodych Demokratów stanęła koncepcja Gomułki.

Nie znaczy to jednak, że Stronnictwo zrezygnowało ze sprawy przyciągnięcia młodzieży. Na początku lat sześćdziesiątych powstają liczne koła młodych, jako ogniwa SD. Ale już w 1964 r. kierownictwo PZPR uznało, że koła młodych rozbijają jedność ruchu młodzieżowego, zwłaszcza na wyższych uczelniach. Koła uczelniane zostały więc rozwiązane, a ściślej wcielone do innych kół. Po Grudniu utrzymała się ta sama koncepcja. Tak więc dopiero teraz otworzyły się możliwości powołania organizacji młodzieżowej. W ten sposób pełniej będzie można urzeczywistniać demokrację. Na pewno wywrze ona także wpływ na podniesienie się kultury politycznej w naszym kraju, a to także atrybut demokracji.

„ODGŁOSY": Jeszcze pytanie stereotypowe. Jakie zadania stoją przed łódzką organizacją SD w najbliższym czasie?

LECH GĄSECKI: Odpowiedź będzie stereotypowa, ale tylko częściowo: chcemy w pełni realizować uchwały XIV Łódzkiego Zjazdu Delegatów i uchwały XII Kongresu SD. Będziemy więc w pełni realizować zadania przyjęte w deklaracji współdziałania partii i stronnictw politycznych. Łódzka instancja SD widzi konieczność faktycznego współdziałania już na szczeblu podstawowych ogniw Stronnictwa i PZPR. Praktycznie będzie to wyglądać w ten sposób, że w instytucjach, zakładach czy organizacjach, gdzie dominują inteligenci bądź rzemieślnicy tworzyć będziemy przyzakładowe koła SD, które będą współdziałać z POP. To zresztą nie jest całkowite novum. Pewne jaskółki tego systemu już istnieją i zdają egzamin. Na przykład przy spółdzielniach rzemieślniczych istnieją POP grupujące członków partii i koła SD. Od pięciu lat przy łódzkiej Izbie Adwokackiej grupa adwokatów członków SD współdziała z POP przy Radzie.

Jako etap pierwszy widzimy konieczność rozpropagowania dokumentów kongresowych wśród członków i dotarcie z ich treścią do społeczeństwa oraz do partnerów politycznych. Chcielibyśmy, aby sformułowane tam zasady stały się własnością ogólnospołeczną, gdyż mogą przyczynić się do przezwyciężenia kryzysu jaki obecnie przeżywamy w naszym kraju.

„ODGŁOSY": A jaki jest stosunek SD do PZPR?

LECH GĄSECKI: W Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej widzimy przewodnią siłę narodu. Pragnę także podkreślić, że SD nie ma żadnych zastrzeżeń do programu PZPR. Mamy jednak wiele zastrzeżeń do ludzi, którzy ten słuszny program wypaczyli w czasie jego realizacji. Jesteśmy przeciwni stosowaniu metod rządzenia nieadekwatnych do sytuacji społeczno-politycznej w kraju. Czas metody sprawowania władzy, zrodzone w okresie rewolucyjnym zastąpić metodami politycznymi i demokratycznymi odpowiadającymi stanowi świadomości politycznej i społecznej. Taki jest po prostu wymóg czasu.

„ODGŁOSY": Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

HERAKLIUSZ ŻWIREŁŁO: „Stoimy także na stanowisku potrzeby powołania Trybunału Stanu dla pełnej realizacji hasła równości wszystkich wobec prawa".

WŁADYSŁAW RZYMSKI: „Na swoim kongresie SD nie zamknęło się w ramach tradycyjnie podejmowanej tematyki".

LECH GĄSECKI: „Potrzebne więc są instytucje gwarantujące urzeczywistnianie demokracji".

Foto: R. Łucyszyn

ta reforma musi się udać

Rozmowa z doc. dr hab. CEZARYM JÓZEFIAKIEM — kierownikiem Zakładu Teorii Wzrostu Gospodarczego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, członkiem Krajowej Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej, wiceprezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

— Na skutki reformy gospodarczej, kiedy wejdzie już w życie, oczekujemy wszyscy. A więc wszystkich nas powinna interesować, wszyscy powinniśmy o niej dyskutować. Ale tak chyba nie jest. Dyskutują głównie specjaliści: ekonomiści, publicyści, mniej nawet praktycy, czyli ci, którzy tę reformę będą realizowali. Najmniej dyskutuje się o reformie wśród robotników, a ich przecież będzie ona dotyczyła w pierwszej kolejności. Dlaczego tak się dzieje? Czy powodem tego jest hermetyczny, mało komunikatywny język projektu poddanego pod dyskusję, czy sam projekt jest mało konkretny, czy też sytuacja w kraju jest taka, że nie nakłania do dyskusji.

— Zwykle tak bywa, że dyskutują o tego rodzaju sprawach przede wszystkim ci, którzy mają coś do zaproponowania. W tym przypadku ekonomiści: teoretycy i praktycy oraz politycy zajmujący się sprawami gospodarczymi.

— Przyznaje więc pan, że projektem reformy gospodarczej nie interesują się szerokie rzesze pracowników.

— Tak. I dodałbym jeszcze, że nie interesuje się tym prasa codzienna, ani też tygodniowa w takim stopniu, jakby się można było tego spodziewać. Myślę jednak, że i prasa, i szeroki ogół społeczeństwa zainteresują się reformą wtedy, gdy zacznie ona wchodzić w życie.

— Dlaczego nie ma tego zainteresowania teraz, kiedy decyduje się kształt tej reformy? To przecież jest ważny moment.

— Dyskusja na etapie teoretycznym nie interesuje każdego pracownika. Interesuje wyłącznie specjalistów. Jest to bowiem etap mówienia o reformie. Mówi się dużo, ale nic się jeszcze w tej sprawie nie robi. I to jest pierwszy powód.

Drugim powodem jest pewna odmienność tej reformy od poprzednich. Otóż obecnie, na plan pierwszy, wysunięto problem centralnego zarządzania i planowania, a nie problem przedsiębiorstwa. Są to sprawy, które mniej interesują szeregowych pracowników, a już znacznie więcej kierownictwa przedsiębiorstw.

Te sprawy, które mogłyby zainteresować całe załogi, a więc sprawy samorządu robotniczego, samodzielności przedsiębiorstw, związków zawodowych są — jak do tej pory — w fazie tez do ustaw. Tezy ukazały się nie tak dawno. A ostatnio załogi żyły, jak wiadomo, innymi sprawami. Zainteresowanie wewnętrznymi problemami przedsiębiorstwa staje się dopiero teraz możliwe, po rozładowaniu wielkiego napięcia społecznego.

Nie bez znaczenia jest też i fakt, że projektodawcy komunikują się ze społeczeństwem za pomocą prasy, której — jak wiadomo — nie ma pod dostatkiem. Po gazety stoi się dziś w długiej kolejce. Sam mam kłopoty z kupowaniem gazet i nie zawsze mi się to udaje. Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że w „Głosie Robotniczym" zadano mi publicznie pytanie, na które przez to odpowiedziałem z opóźnieniem. A ile jest takich wypadków, że różne teksty w ogóle nie docierają do zainteresowanych? Prasa, gdyby była powszechnie dostępna, mogłaby odegrać znacznie większą rolę w inicjowaniu i rozbudzaniu dyskusji o reformie gospodarczej.

— Tłumacząc i popularyzując zbyt ogólnikowe czy zbyt zawikłane sprawy w sposób przystępny dla szerokiego ogółu.

— Tak. Jest to potrzebne. Ale nie chodzi tylko o formę artykułów. Obecnie toczy się wielka debata obywatelska, dotycząca zasad funkcjonowania życia publicznego we wszystkich dziedzinach. Spieramy się o to, jak powinien działać Sejm, czym powinien się zajmować, a czym nie powinien się interesować rząd, jak mają wykonywać swoje funkcje organizacje, aparat i instytucje partyjne. Są to sprawy zasadnicze. Stopniowo jednak dyskusja zejdzie na poziom pracowniczy. Wtedy rozważania o samorządzie, o stosunkach: samorząd — dyrekcja, samorząd — związki zawodowe itp. nabiorą — mam nadzieję — rozmachu.

— Można byłoby więc powiedzieć, że społeczne konsultacje, jakim projekt reformy miał być poddany, są dotąd ograniczone.

— Nie. Myślę raczej, że społeczeństwo skupiło uwagę na bardziej generalnych tematach. Ponadto specjaliści zgłosili pod adresem projektu reformy gospodarczej sporo bardzo krytycznych uwag. I sądzę, że to też nie zachęca do szerokiej dyskusji.

— W myśl zasady, że skoro fachowcy wyrazili się o reformie krytycznie, to niefachowcy nie mają już nic do powiedzenia. A na dodatek język projektu jest zbyt ogólnikowy. Sformułowania są w kategorii życzeń.

— Nie jest to język trudny, ale nie jest też sympatyczny. Nadużyto znanego skądinąd zwrotu „powinno się". Za taką bezosobową formą kryły się często zwykłe uniki. Tak odczytany został np. postulat: „W perspektywie ograniczyć trzeba liczebność przemysłowych ministerstw..."

Małe zainteresowanie reformą bierze się jeszcze z innego powodu. Otóż tak zwany przeciętny człowiek zastanawia się przede wszystkim nad tym, co reforma da mu już dziś i jutro. A na to pytanie projekt reformy nie daje odpowiedzi. I dać jej nie może, gdyż odnosi się głównie do tak zwanego docelowego systemu ekonomicznego.

W moim przekonaniu poważny niedostatek projektu zawiera się w braku tak zwanej ścieżki przejścia, czyli sposobu, który określałby, jak dokona się zmiana od obecnego stanu gospodarki i systemu ekonomicznego do stanu gospodarki docelowego i docelowego systemu ekonomicznego.

— Dlaczego tak się stało?

— Projekt rodził się w ostrej dyskusji, w polemikach między zwolennikami bardziej i mniej śmiałych koncepcji zmian. W komisji przeważyli „ostrożni", bojący się powiedzenia prawdy do końca, postawienia kropki nad i.

— O jakie sprawy tu chodzi?

— O różne. Nie ma np. w projekcie odpowiedzi na pytanie: jak mogło do tego dojść? Nie ma też ostrzeżenia: takie a takie trudności są dopiero przed nami. Myślę tu o sprawach zatrudnienia i cen. Te właśnie sprawy znajdują się na „ścieżce przejścia" do systemu docelowego. Wymagają one rozwiązania i nie będą nas, ani jako pracowników, ani jako konsumentów uszczęśliwiały. Na przykład sprawa zatrudnienia. Wiadomo wszystkim, że w wielu przedsiębiorstwach pracownicy nie zawsze mają co robić. Trzeba będzie więc część z nich przesunąć do innych dziedzin gospodarki.

— Nie jest to ani popularne, ani łatwe. Niektórzy nawet podejrzewają, że jak się kogoś chce przestraszyć reformą, albo do niej zniechęcić to zaraz mówi się o zwalnianiu ludzi z pracy i przesuwaniu ich do innej. Pada nawet pytanie: czy w Polsce będzie bezrobocie?

— Sprawa zatrudnienia wiąże się nie tyle z reformą, ile ze stanem gospodarki. Gdyby taki stan objął gospodarkę kapitalistyczną, to byłoby nieuchronne bezrobocie. My na to pójść nie możemy. I projekt reformy czegoś takiego nie zakłada. Ale gospodarka nasza ma fatalną strukturę. Jej naprawienie wymaga przesunięcia części zatrudnionych z jednych działów do innych.

— To znaczy, gdzie?

— Na przykład do usług. A także do drobnej wytwórczości. Z punktu widzenia zakładów jest to sprawa stosunkowo prosta. Wystarczą niewielkie nakłady, aby powstały nowe miejsca pracy i aby korzyść z tego mieli klienci sklepów i punktów usługowych.

— Ale jest jeszcze punkt widzenia ludzi, którzy będą musieli zmienić pracę, kwalifikacje, przyzwyczajenia, tryb życia. To jest problem.

— Tak. To nie będzie łatwe. Ale komplikacje wystąpią nie tylko w tej sferze. W sytuacji kryzysowej trzeba na przykład wyhamować rozwój niektórych dziedzin gospodarki. Wstrzymać inwestycje. To jest naturalne. Jednak na taki problem nie można patrzeć tylko doraźnie. Po wyjściu z kryzysu dziedziny te będą nadal rozwijane. Potrzebni będą fachowcy. Nie można więc pozbywać się ich. Trzeba zatem przesuwać do innej pracy ludzi z tych dziedzin gospodarki, o których wiadomo, że ich udział zmniejszy się w wyniku reformy.

Inna sprawa. Ze względu na trudności z mieszkaniami nie można będzie przesuwać ludzi między regionami. Trzeba zatem szukać rozwiązań w poszczególnych regionach. To też nie będzie łatwe.

I jeszcze jedno. Ludziom, którzy będą musieli na trwałe zmienić zawód trzeba będzie stworzyć do tego warunki. Niezbędne będą zasiłki pieniężne na okres przekwalifikowania się.

— Będzie to wymagało wielkiej sprawności administracji. A z praktyki wiemy, że mała sprawność administracji może zaszkodzić najbardziej pożytecznej i potrzebnej akcji.

— Skarżymy się ciągle na administrację. Są po temu powody. Ale wnioski wyciągaliśmy dotąd niesłuszne. Tego się nie poprawi samym szkoleniem lub apelowaniem do urzędniczego sumienia. Administrację trzeba podporządkować autentycznie przedstawicielskim ciałom: administrację terenową — radom narodowym. Wspomniany autentyzm wymagałby zmiany ordynacji wyborczej do rad narodowych. Administracja terenowa mająca nad sobą takich prawdziwych gospodarzy na pewno stałaby się sprawniejsza. Nie pod wpływem centralnych wytycznych lecz oddolnego nacisku, musiałaby rozwiązywać między innymi problemy lokalnego rynku pracy.

— Nawet w tych warunkach przesunięcia w strukturze zatrudnienia przysporzyłyby ludziom trudności.

— Niewątpliwie. Ale, moim zdaniem, nie można mieć efektywnej gospodarki jeśli system ekonomiczny nie jest w pewnym stopniu brutalny dla ludzi. Kiepski pracownik nie powinien mieć żadnych szans na taki zarobek jaki otrzymuje pracownik zdyscyplinowany i wydajny. Również jeśli przedsiębiorstwo nie przynosi społecznych korzyści, to albo trzeba je zlikwidować, albo udzielić kredytu, ale wtedy po sprawdzeniu, że istnieje pewność zwrotu pożyczki. Powstające na tym tle konflikty społeczne nie powinny być ukrywane lecz ujawniane i rozwiązywane przy udziale organizacji społecznych, samorządów, związków zawodowych, a także właściwych instytucji państwowych.

— Porządkowanie spraw zatrudnienia wiąże się z problemem tak zwanych dwuzawodowców, czyli chłopo-robotników. Jakie tu widzi pan rozwiązanie?

— W moim przekonaniu chłopo-robotnicy powinni wrócić do pracy na wsi. Aby jednak przyniosło to korzyści muszą oni mieć środki produkcji. Tu już nie wystarczą same działania lokalnej administracji. Niezbędne jest skorelowanie tych działań z odpowiednią zmianą struktury produkcji przemysłu.

— Ktoś musi te środki produkcji wytworzyć, aby można je było dzielić.

— Nie można z tym czekać na reformę. To trzeba już robić.

— Wspomniał pan również o cenach. Jest to też sprawa bardzo niepopularna.

— Wszyscy się jej boją, i społeczeństwo i władza.

— A zmiany cen są nieuniknione.

— Ekonomiści nie mają co do tego wątpliwości. Tylko, że projekt reformy nie mówi o tym w sposób dostatecznie jasny. Zwyciężył tu pogląd, że o sprawach przykrych, drażliwych, kontrowersyjnych lepiej mówić ogólnie. Tak też postąpiono w sprawie konieczności zmiany struktury organizacyjnej centralnego aparatu administracyjnego.

— Zmianę ceny rozumie się u nas na ogół przez jej podwyższenie. A przecież nie o to tylko chodzi. Potrzebna jest zmiana relacji cen.

— Tak, potrzebne jest i jedno i drugie. O cenach detalicznych na razie jest cicho. Natomiast ceny wewnątrzprzemysłowe mają być zmienione od 1 stycznia 1982 roku.

Foto: R. Łucyszyn

CEZARY JÓZEFIAK: „...tak zwany przeciętny człowiek zastanawia się przede wszystkim nad tym, co reforma mu da dziś i jutro. A na to pytanie projekt reformy nie daje odpowiedzi."

— Na czym miałaby ta reforma polegać?

— Na tym, aby ceny dobrze informowały ile naprawdę kosztuje gospodarkę wytwarzanie różnych środków produkcji. Mamy za mało surowców i materiałów w stosunku do potrzeb. Trzeba więc te materiały racjonalnie rozdzielać: dawać najpierw tym przedsiębiorstwom, które przy ich pomocy wytworzą więcej dochodu narodowego. Trzeba tę efektywność zużycia surowców jakoś mierzyć. Miernikami są właśnie ceny wewnątrzprzemysłowe. Obecnie stosowane nie spełniają tej roli. Stąd konieczność ich zreformowania.

— A ceny detaliczne?

— Mogę uspokoić Czytelników „Odgłosów" informacją, która mnie osobiście niepokoi. Reforma cen detalicznych nie nastąpi szybko. W końcu jednak musi nastąpić zarówno generalna podwyżka cen jak i zmiana relacji pomiędzy różnymi cenami.

— A u nas — powtórzmy — wszelkie podwyżki są niepopularne.

— Dlatego sprawa jest tak trudna. Obecnie dyskutowane są dwie koncepcje.

Pierwsza: rozwiązanie uderzeniowe. Załatwić problem jedną decyzją. Musiałaby być ona oczywiście poprzedzona konsultacjami ze związkami zawodowymi. Ich skwapliwa zgoda jest potrzebna aby zmiana cen nie wywołała gwałtownych protestów.

— Nie będzie to łatwe.

— Zapewne. Dlatego rozważa się też drugą koncepcję. Polegałaby ona na działaniu etapami. Mówi się o dwóch, trzech etapach.

— Za którą koncepcją pan się opowiada?

— Przyznam się pani, że początkowo byłem za koncepcją drugą, czyli za reformowaniem cen etapami. Teraz, wychodząc z oceny kryzysowej sytuacji naszej gospodarki, jestem za rozwiązaniem uderzeniowym.

Muszę to jednak dokładniej wyjaśnić. Znamy wszyscy sytuację na rynku. Puste półki w sklepach, kolejki. Powoli dociera do społecznej świadomości fakt, że walka o podwyżki w gruncie rzeczy była walką o papierki. Wywołało to tylko zamieszanie na rynku. Przez długi czas władze zatajały, że dają pieniądze bez pokrycia w towarach. Mówiły tylko, że trudno będzie znaleźć pokrycie. To się teraz mści. Wielu uważa, że ktoś złośliwie magazynuje towary, że to jest niemożliwe, aby tak nagle opustoszały półki w sklepach. Niestety, taka jest jednak prawda: towarów po prostu nie ma.

— Nadal właściwie nie znamy całej prawdy o stanie naszej gospodarki. Od dawna mówiło się, że taki raport będzie opublikowany.

— Właśnie. Nieujawnianie tego dokumentu pogłębia nieufność do władzy. Sprawa jest dziwna, bo dokument w ogóle istnieje.

— Trzeba powiedzieć sobie otwarcie, że jeśli chodzi o zaopatrzenie rynku, to nie poprawi się ono ani za kilka miesięcy, ani za pół roku, ani za rok. I jaką zatem rolę w tej sytuacji ma pełnić reforma cen?

— Reforma cen nie zwiększy ilości towarów, a tylko zmniejszy popyt na nie. Obecnie rynek jest zdezorganizowany nie tylko dlatego, że zmniejszyły się dostawy. Także dlatego, że gdy do sklepu dostarczany jest towar za 100 zł, to 150 zł czeka na niego w kolejce. Jeśli nie zmienimy cen, to za rok w kolejce ustawi się już ponad 200 zł. Wtedy ceny trzeba będzie podnieść jeszcze bardziej.

— Mimo takiej świadomości będzie to decyzja niepopularna.

— Tak. Ale nie możemy zapominać, że dysponujemy obecnie mechanizmami negocjacyjnymi. Taka decyzja musi być zatem przekonsultowana ze związkami zawodowymi. Być może, w trakcie takich negocjacji, obie strony dojdą do wniosku, że nie należy podejmować decyzji uderzeniowej, za którą ja się opowiadam, ale na przykład zreformować ceny etapami.

Jedno dla mnie nie ulega wątpliwości: reforma cen, chociaż jest lekarstwem gorzkim, wszystkim ostatecznie wyjdzie na zdrowie. I druga sprawa. Związki zawodowe nie będą w stanie obronić realnych dochodów wszystkich pracujących. Będą musiały skoncentrować się na obronie dochodów niżej zarabiających. Grupy ludzi lepiej zarabiających będą musiały stracić. Takie są obiektywne skutki kryzysu.

— Wszyscy mówimy o potrzebie reformy gospodarczej, ale nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie się z jej wprowadzeniem wiążą. Na ogół widzi się przede wszystkim sprawy związane z likwidacją biurokracji przemysłowej i samodzielnością przedsiębiorstw. A to są tylko jedne z elementów reformy.

— To prawda, ale likwidacja szeroko rozwiniętej biurokracji w gospodarce jest nieunikniona. Nie będzie to łatwe. Nadbudowa administracyjna w gospodarce posiada ogromne siły obronne i zrobi wiele aby się utrzymać. Podsuwać będzie różne pomysły reorganizacyjne, sprowadzające się do zmiany szyldów.

Nieunikniona jest również samodzielność przedsiębiorstw. Tylko, że otrzymają one tę samodzielność w warunkach najgorszych jakie można byłoby sobie wymyślić. Niektórzy dyrektorzy już wołają: Dajcie nam najpierw surowce, a potem samodzielność. Niestety, reglamentacja wielu surowców i materiałów utrzyma się jeszcze dość długo. Zmiana cen wewnątrzprzemysłowych pozwoli tylko uczynić ją rozsądniejszą. Ale rozdzielnictwem nie muszą się zajmować „jednostki nadrzędne". Może to robić hurt lub jakieś międzybranżowe zespoły. Dlatego trzeba przerwać służbową zależność przedsiębiorstw od wyższych ogniw administracji. Bez tego warunku nic nie wyjdzie z reformy.

— Nie jest to pierwsza próba zreformowania naszej gospodarki. Poprzednie się nie udały. A ta?

— Mam nadzieję, że się uda.

— Każdy tak uważa. Ale co przemawia za tym, że tym razem musi się udać?

— Jest kilka czynników.

Po pierwsze — bez reformy nie wyjdziemy z kryzysu i przekonane jest o tym zarówno społeczeństwo, jak i władza.

Po drugie — społeczeństwo jest już zmęczone poprzednimi próbami zreformowania gospodarki, które się nie udały. Teraz jest ostatniejsze. Myślę, że związki zawodowe będą pilnowały, aby rząd wywiązał się z tego zobowiązania.

Po trzecie — zreformowanie naszej gospodarki poprawi naszą pozycję w oczach wierzycieli zagranicznych. Zresztą zaczynają oni od tego uzależniać skalę dalszych kredytów i zgodę na odraczanie spłat.

Po czwarte — ta reforma nie kończy się na przedsiębiorstwie — o czym już wcześniej wspominałem — ale ma nareszcie objąć system centralnego planowania. I to nie w sensie techniczno-organizacyjnym. Spodziewam się, że wprowadzony zostanie jasny podział kompetencji pomiędzy centralne ośrodki władzy i ogniwa centralnej administracji.

— To wszystko razem pozwala panu być optymistą?

— Nie tylko. Proszę zwrócić również uwagę na to, że jednocześnie dokonuje się demokratyzacja życia politycznego. Sama reforma bez tego procesu byłaby skazana na niepowodzenie. Jeśli demokratyzacja nie ulegnie zahamowaniu, to uda się wprowadzić w życie reformę gospodarczą. Oba te procesy są z sobą ściśle związane i wzajemnie się warunkują.

I jeszcze jedna sprawa. Komisji do Spraw Reformy przewodniczy — jak wiadomo — premier. Otóż premier Jaruzelski, kiedy objął przewodnictwo, postawił kilka spraw w nowy sposób. Uznał np., że wszystkie, nawet najbardziej skrajne poglądy na temat systemu gospodarczego powinny być wzięte pod uwagę. Jeśli nawet nie znajdą się w ostatecznych sformułowaniach dokumentu, to czytelnicy powinni otrzymać o tym informację w załączniku, aby samodzielnie mogli sobie wyrobić pogląd. Daje to większe szanse uwzględnienia innych zgłoszonych dotąd projektów, np. Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, SGPiS i innych. Takie podejście do reformy umożliwi znalezienie właściwych rozwiązań, co jest ważnym warunkiem jej skuteczności.

Między innymi również i stąd mój optymizm, jeśli to tak można nazwać. Bo w istocie, to uważam, że po prostu nie ma innego wyjścia, jak tylko zreformować gospodarkę. I dlatego właśnie, jak to stwierdzono na Krajowym Zjeździe Ekonomistów: „ta reforma musi się udać".

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

RYSZARD BINKOWSKI

SĄDNY DZIEŃ W RZGOWIE

W ciągu dwudziestu lat wieś Starowa Góra, leżąca na granicy Łodzi i gminy Rzgów, stała się kwitnącym, typowo ogrodniczym zapleczem wielkiego miasta. Chłopskie pola pocięto na działki, znikły stare chałupy, piaszczystą ziemię, głównie V i VI klasy, przekształcono w żyzną glebę ogrodniczą. Dziesiątki ludzi pragnąc przejść z przemysłu do rolnictwa i odciążyć budownictwo miejskie, zamierzało osiedlić się w Starowej Górze i związać swój los z pracą na roli.

I pracowali ciężko, stawiali szklarnie, sadzili krzewy i drzewa, uprawiali warzywa, gromadzili materiały budowlane. Wielu mieszkało w szopach i komórkach. Powstawały nowe ulice: Dachowa, Okienna, Szklarniowa, Inspektowa. Nie wszyscy posiadali akty własności, lecz mimo to otrzymywali zezwolenia na budowę domów. I teraz domy te nie są podłączone do prądu, dzieci odrabiają lekcje przy świeczkach. Innym podobno geodeta Zapart z Urzędu Gminy w Rzgowie źle wymierzał działki, na których nie wolno się było budować. Jedno było pewne: władze postawiły warunek, że jak się wybuduje szklarnię, będzie zezwolenie na budowę domu. I ludzie uwierzyli władzy. Takie zezwolenia na budowę szklarni, po których uzyska się zezwolenie na dom, wydawał Urząd Gminy w Rzgowie oraz Wydz. Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Łodzi. Na takie zagospodarowanie terenu Starowej Góry zgadzało się również Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego. Zezwolenia na szklarnie otrzymali m.in. Jerzy Maciołek, Sikora, Pelakowscy, Rakowski, Rajkowscy, Grzegorzewscy, Lipińscy i inni. Dymiły kominy kotłowni, warzywa ze szklarni i z gruntu płynęły na rynek łódzki i 86 ogrodników, którzy zainwestowali tutaj kilkaset milionów złotych, ani myślało, że ktoś może pokrzyżować ich losy i plany życiowe.

Niestety, planiści doszli do wniosku (nie bez aprobaty byłego naczelnika gminy Rzgów), że skoro w Starowej Górze jest około 50 działek pod budownictwo jednorodzinne, bez gospodarstw ogrodniczych to cały teren należy przeznaczyć pod osiedle mieszkaniowe. Planiści chodzili, mierzyli i nie widzieli dziesiątków szklarni. Nie byli też w stanie sprawdzić, że w urzędach od siedmiu lat leżą dziesiątki podań o zezwolenie na budowę szklarni i domów. Po konsultacji z fachowcami i gospodarzami terenu, ale bez konsultacji z mieszkańcami Starowej Góry, powstał projekt planu zagospodarowania przestrzennego, według którego szklarnie i domy miały iść do rozbiórki, działki zaś miano poszatkować jak puste pole na jeszcze mniejsze i zacząć budownictwo osiedlowe. Mieszkańców nie powiadomiono nawet o terminie wyłożenia planu w Urzędzie Gminy.

Foto: R. Łucyszyn

Ludzie byli wstrząśnięci, rozgoryczeni i rozwścieczeni, bo komu wierzyć, skoro jedna władza daje ziemię i pozwala się budować, a druga wszystko odbiera? Włożyli w zagospodarowanie działek własne pieniądze, a teraz państwo ich wywłaszcza i płaci odszkodowania funduszami społecznymi. Nie ma ucieczki, nikt bowiem nie kupi gospodarstwa skazanego na zagładę. Państwo wykupi ziemię po 3 zł za m kw., a sprzeda po 100 zł, takie są ceny działek budowlanych, czerpiąc z chłopskiej krzywdy ogromne zyski. Sekretarz Biura Urzędu Gminy, Antoni Adamus, miał oświadczyć, że państwo po to robi plany, żeby je realizować i dlatego w pierwszym rzędzie rozbierze się szklarnie Jerzego Maciołka (666 m kw. pod szkłem!). Wychodzi na to, że jak zmieniają się przedstawiciele władzy (nie władza bo ta zawsze ludowa), to i zmieniają się plany, a cierpi szary obywatel.

7. X. 1980 r. mieszkańcy Starowej Góry zaprotestowali przeciwko niefortunnemu planowi. Naczelnik gminy, mgr Konstanty Młotkiewicz zapewnił, że ten plan nie przejdzie wbrew woli ogółu i że w ciągu dwóch tygodni musi dojść do konsultacji z projektantami w sprawie korekt i zmian. Minęło jednak pięć miesięcy i nic się nie działo, nie pomógł nawet krytyczny artykuł J. Pilichowskiego pt. „Nie róbmy z gęby cholewy", pomieszczony 3 listopada 1980 r. w „Głosie Robotniczym". Ludzie wciąż stali na rozdrożu. Postanowili zadziałać ostrzej, gdyż doszli do przekonania, że władze zwlekają, aż mieszkańcy zmiękną i plan da się przeforsować. I dlatego 3 marca br. do małej sali Gminnego Ośrodka Kultury w Rzgowie wnoszono dodatkowe ławki, gdyż zjawiło się tam kilkaset osób, głównie mieszkańców Starowej Góry. Byli także ludzie z innych wsi, przedstawiciele władz gminy, Urzędu Miasta Łodzi, reprezentanci „Solidarności" ze wsi i z miasta, delegat Związku Ogrodniczego. Ten ostatni, pan Lech Dziomdziora, oświadczył, że są tacy, co czekają, kiedy wreszcie się skończy ta odnowa. Bo jak by się skończyła, to i plan zagospodarowania przestrzennego w Starowej Górze by przeszedł. Ale na to się nie zanosi, rolnik polski nie będzie więcej Drzymałą, musi mieć zapewnione warunki do pracy i do mieszkania. Takie prawo szczególnie należy się ogrodnikowi, bo ogrodnictwo to wyższy stopień rolnictwa. Następnie pan Dziomdziora zadał panu architektowi, Januszowi Gawkowskiemu, trzy pytania: Czy uznaje Starową Górę za teren ogrodniczy, a własność chłopską za nienaruszalną? Czy godzi się na zmianę planu? Czy wobec winnych za opracowanie planu i zwlekanie z korektą wyciągnie się konsekwencje? Na dwa pierwsze pan architekt odpowiedział „tak" a jak chodzi o winnych, to nie ma uprawnień do wyciągania konsekwencji, po czym wyjaśnił, że stary plan nie ujrzy światła dziennego. Żeby jednak opracować nowy, mieszkańcy muszą złożyć swoje uwagi na piśmie u naczelnika, w przeciwnym bowiem razie stary plan pozostanie aktualny. Na stwierdzenie rolników, że idzie wiosna i trzeba się brać do pracy pan architekt odparł, że nowy plan opracuje się do czerwca, ale ten plan nie zapewni właścicielom regulacji stanu prawnego.

Pan Młotkiewicz wyjaśnił ze swej strony, że nigdy nie miał interesu szkodzić Starowej Górze, musiał się jednak kierować centralnymi przepisami, które według niego są krzywdzące dla rolników. Plan zagospodarowania przestrzennego opracowuje się na szczeblu wojewódzkim, naczelnik może jedynie wywiesić w gminie jego projekt. Pan Młotkiewicz postulował w sprawie zmiany planu, lecz nic nie wskórał. Uznaje, że Starowa Góra winna pozostać rejonem produkcji szklarniowej. Sekretarz KG, Zdzisław Kuras, oznajmił, że rozumie wzburzenie ludzi i docenia ich pracę, nie powinni jednak ustawiać się bokiem, gdyby bowiem naczelnik miał więcej uprawnień, nie doszłoby do podobnej konfrontacji. Plan miał dużo wad i mało zalet i sesja GRN nigdy by go nie zatwierdziła.

Zebrani wybrali zespół d.s. współpracy z projektantami. Ustalono, że plan będzie opracowany do 1 czerwca i zachowa się w nim dotychczasowe podziały. Ogrodnicy otrzymają akty własności, przy czym sprawę należy skierować do komisji uwłaszczeniowej przy prezydencie. Uchyli się zakaz budowy szklarni w Starowej Górze, gdyż te dają miastu najwięcej warzyw. Nie będzie się budować drogi niszczącej szklarnie. Wszystkie sprawy będą konsultowane przez Urząd Gminy z mieszkańcami. W Starowej Górze ustawi się tablice informacyjne samorządu wiejskiego. Milicja energicznie zajmie się likwidacją tajnych punktów sprzedaży wódki.

Wydawało się, że wszyscy zapomną o nieszczęsnym planie, który wg nieoficjalnych źródeł kosztował 3 miliony złotych. Atmosfera wyraźnie się poprawiła. Ktoś stwierdził, że naczelnik jest człowiekiem taktownym, może się nie zgadzać z interesantem, ale nie traktuje go jak intruza, cierpliwie wysłucha. Jeden z rolników powiedział, że nie chciano mu sprzedać nawozów, bo nie oddał zboża, chociaż odstawił znaczną ilość mięsa. Naczelnik to zrozumiał i sprawiedliwie załatwił. Inny uznał, że naczelnik powinien być wszędzie: w punkcie skupu, w gminie, przy nawozach i węglu, na polach. Żeby temu sprostał, musi mieć dobrego etatowego zastępcę.

Dochodziło do pojednania, lecz wówczas na sali pojawił się były naczelnik Gawroński, od którego zaczął się ten cały bałagan, i zaraz zniknął. Ludzie zaczęli szemrać, że zięć byłego prezydenta Lorensa nawet dzisiaj z nikim się nie liczy. Żądali wyjaśnień. W świetle materiałów zebranych i przedstawionych przez prowadzącego zebranie Jerzego Maciołka, szefa samorządu wiejskiego w Starowej Górze, były naczelnik jawi się jako człowiek z tzw. nomenklatury, który wciąż się „sprawdzał"; jak wszedł na orbitę, to już nie spadał, przeto po zdjęciu go z naczelnikowstwa został kierownikiem Wydziału Obrotu Ziemią w Urzędzie Miasta i w dowód zasług w ub. r. otrzymał odznaczenie.

W 1972 roku ob. Świech, mieszkający w trudnych warunkach na „komornym", kupił za 60 tys. zł od rolnika Pokorskiego działkę budowlaną o pow. ok. 3 tys. m kw., położoną przy ulicy Polnej. Wkrótce wezwano do gminy 80-letniego Pokorskiego, spytano, jak się nazywa, czy ma konia i wóz, po czym kazano mu się podpisać. Niebawem Pokorski się dowiedział, że podpisał akt sprzedaży działki, po 4 zł za m kw., czyli za 12 tys. zł, i to była transakcja legalna, a ta pierwsza nie, w związku z czym ma oddać Świechowi 60 tys. zł. Staruszek tak się tym przejął, że wkrótce umarł.

Tymczasem na działce zaczęto budować 4 domy. Dla naczelnika Gawrońskiego, dyrektora szkoły oraz pracowników gminnej służby rolnej i SKR. Według stwierdzenia Jerzego Maciołka, naczelnik Gawroński miał mieszkanie „prezydenckie" w blokach, a dyr. szkoły zajmuje w szkole 4 izby, chociaż dzieci nie mają się gdzie uczyć. Kiedy Świech otrzymał akt własności na jego działce stały już domy. Udał się do geodety Zaparta, a ten oznajmił, że dobrze, iż chce oddać ten akt własności, bo byłaby z tego draka. Charakterystyczne, że już w trakcie budowy w prasie ukazały się anonse, że Gawroński chce sprzedać dom. Rozeszła się fama, iż w Rzgowie rozdają działki na wieczystą dzierżawę. Tylko gdzie pomieścić chętnych? Najlepiej na działkach ogrodniczych w Starowej Górze! Sekretarz Biura, Antoni Adamus, podał prasie informację, że jest 150 podań. Geodeta Zapart oświadczył, że nie powie, kto i gdzie zamieszkały składa podania, bo to tajemnica urzędowa. Jednakże naczelnik Młotkiewicz ujawnił dane. Okazało się, że podań jest trzydzieści kilka, wielu chętnych mieszka poza Rzgowem, a jeden zbudował na Chojnach przy ul. Kosynierów trzy domy i teraz chce budować czwarty w Starowej Górze. Jerzy Maciołek stwierdził, że w Rzgowie brakuje domów i mieszkań, wynikają niepotrzebne konflikty, jak np. zasygnalizowany w artykule „Sprzedani" z „Odgłosów", a tymczasem domy byłego naczelnika i urzędującego dyrektora szkoły stoją puste. To jednak nie koniec, kontynuował J. Maciołek, bo naczelnik Gawroński zbudował też most na rzece Ner w Gadce Starej (są zdjęcia tego mostu, po czym oświadczył na zebraniu wiejskim, iż koszt budowy wyniósł 350 tys. zł. W związku z tym Wiktor Kwiatkowski z Gadki Starej w roku 1978 wysłał pismo do Prokuratury Rejonowej, wyjaśniając, że ów most to zwykła drewniana kładka, położona na resztkach konstrukcji starego, szerokiego mostu. Kładka ma ponad 6 m długości, 1,6 m szerokości, zużyto na nią 2 m sześc. drzewa i 3 kg gwoździ, a koszt mógł wynieść 10 tys. zł. Dzięki temu dobrodziejstwu rolnicy z Gadki Starej, aby dotrzeć do swych pól za rzeką, muszą jeździć 3 km, i to ruchliwą ulicą Rudzką.

W trakcie czynności sprawdzających naczelnik wyjaśnił, że koszt mógł wynieść od 180 do 350 tys. Suma nie jest wyolbrzymiona, ponieważ koszt remontu mostu we wsi Prawda wyniósł 360 tys. zł, a w Grodzisku ponad 150 tys. Kwiatkowski odwołał się do Prokuratury Wojewódzkiej i okazało się, że faktura na budowę kładki w Gadce Starej opiewa jedynie na sumę 125 tys. zł. Zażalenie jest bezpodstawne, gdyż nie przedstawia konkretnych dowodów. Nie ma też potrzeby powoływać biegłego do wyceny „inwestycji", albowiem sugestie i prowizoryczne obliczenia chłopów są mylne.

Zebrani w dniu 3 marca rolnicy wyrazili przypuszczenie, że żwir, cement i drewno przeznaczone na budowę i remonty dróg i mostów w gminie Rzgów mogły pójść na budowę domu naczelnika Gawrońskiego. Podjęto wniosek, że trzeba to zbadać i przekazać do ponownego rozpatrzenia.

Zebranie powinno się na tym zakończyć, ale się nie skończyło. Wstał pełnomocnik ob. Karoliny Brzozowskiej, zamieszkałej we wsi Bronisin i począł ostrym głosem zadawać pytania oraz oskarżać Urząd Gminy, szczególnie naczelnika Młotkiewicza. Eksmisję chorego na epilepsję Stefana Naporowskiego i osadzenie go w „niemieszkalnej norze" nazwał świadomym morderstwem, za które nikt nie osądził sprawców. Dalej pytał, co uczyniono z kwotą 42 milionów złotych przeznaczonych na rozwój gospodarstw specjalistycznych, na jakiej podstawie sprzedano właścicielowi taxi nr 9 działkę o powierzchni 1,10 ha i dlaczego władze gminne usiłowały zawładnąć gospodarstwem wzorowego rolnika K. Rechcińskiego? Następnie oznajmił, że naczelnik Młotkiewicz usiłował siłą przejąć na skarb państwa gospodarstwo Karoliny Brzozowskiej, a gdy mu się to nie udało, jął „mocą tajnych układów" wchodzić w porozumienie z małżeństwem Wejmanów, którzy nocą włamali się do domu pani Brzozowskiej, skatowali ją nieludzko i wyrzucili z posesji. Na zakończenie stwierdził, że „czas, aby nasz naród dowiedział się o głębokiej demoralizacji gminnego aparatu w Rzgowie, który przez długie lata żył w bezkarności, szedł drogą stosowanej przemocy, gwałtu i szantażu".

Wystąpienie było tak mocne, dosadne i sugestywne, że ludzie zaczęli klaskać i wznosić krwiożercze okrzyki pod adresem naczelnika. Po chwili jednak niektórym zrobiło się chyba głupio. No bo czy tak właśnie należy pojmować odnowę i demokrację? Czy w zacietrzewieniu, pod wpływem emocji nie wyrządza się komuś krzywdy?

Owszem, są dwa pisma, jedno podpisane przez Młotkiewicza, drugie przez Adamusa, w których mówi się o przejęciu na własność państwa gospodarstwa K. Brzozowskiej, która mieszka w Łodzi, pracuje w „Olimpii", a swoje gospodarstwo w Bronisinie, bez inwentarza i sprzętu rolniczego, traktuje jak działkę letniskową. Natomiast inne pismo (z 24. X. 1980) zawiera orzeczenie Wojewódzkiego Biura Geodezji, w którym uchyla się decyzję Urzędu Gminy w całości i orzeka, że omawiane gospodarstwo nie odpowiada warunkom przejęcia na własność państwa za rentę z urzędu. 0,5 ha od wielu lat użytkowali małżonkowie Wejman, którzy ostatnio naruszyli własność K. Brzozowskiej, użytkując tylko 0,34 ha, natomiast reszta działki liczącej ogółem 0,70 ha od wiosny 1980 r. była nie zagospodarowana, ale nie z winy właścicielki. Za gospodarstwo zaniedbane uważa się takie, w którym wszystkie grunty orne nie były rolniczo wykorzystane w ciągu ostatnich trzech lat.

Warto nadmienić, że K. Brzozowska mieszkała tymczasowo w Łodzi, ukrywając się przed Wejmanami. A więc dane zebrane przez gminnych urzędników okazały się nieścisłe. Naczelnik, ciągniety bez przerwy na różne narady, nie był i nie jest w stanie sprawdzać wszystkiego w terenie; zawierza podwładnym i podpisuje decyzje. Konstanty Młotkiewicz oznajmił, że jego celem jest dobrze pracować, służyć ludziom. Nie czyha na żadne gospodarstwo i jest mu przykro, bo niczego nikomu nie ukradł. Sprawa Brzozowskiej i Wejmanów jest wewnętrzną sprawą rodzinną, gdyż Wejman to rodzony brat Brzozowskiej, która sprzedała mu gospodarstwo za 180 tys. zł. Wejman zajął gospodarstwo, lecz nie dał siostrze pieniędzy i na dodatek ją pobił. Brzozowska jednak wygrała sprawę w sądzie. Pan Młotkiewicz wyraził ubolewanie, że jak cień wlecze się za nim sprawa Stefana Naporowskiego, którego on przecież nie zabił. Sekcja zwłok wykazała we krwi denata dwa promille alkoholu. Winni są ci, którzy rano dawali Stefanowi szklankę wódki i traktując go jak niewolnika, zapędzali do pracy w swoich gospodarstwach. W ub. roku naczelnik wydał 5 tys. decyzji, w tym wiele niepopularnych, gdyż może służyć ludziom tylko w granicach prawnych, a tymczasem większość przepisów godzi w ich interesy.

Wydawało się, iż naczelnik uspokoił swoim wyznaniem salę. Nie można go było chyba posądzać o te 42 miliony, bo naczelnik w ciągu 2,5 roku urzędowania nie dostał na gospodarstwa specjalistyczne nawet połowy tej sumy. Ale gdzie tam! Posypały się nowe zarzuty. Że byłemu naczelnikowi Gawrońskiemu śmierdział koks i w 1973 roku kazał rozebrać kuźnię. Teraz kowal pracuje w norze, po kolana w wodzie, a chłopi klną, bo nie ma gdzie reperować narzędzi i podkuwać koni. Że uchylenie zakazu budowy szklarni ma dotyczyć wszystkich, bo rolnik ze Rzgowa 15 lat temu postawił fundamenty, wkładając w inwestycję 80 tys. zł i teraz musi zaczynać od nowa. Że Starowa Góra chce mieć własne kółko rolnicze, bo działki drobne i półtora konia na krzyż i nikt nie myśli chodzić po prośbie do dyr. SKR w Rzgowie. Że naczelnik Gawroński sprzedał parafialną ziemię, zabrakło miejsca na cmentarz, a ludzie umierają. Obok cmentarza stoją za to puste, zbudowane za miliony złotych obory. Że rodzeństwo Stanioszów śpi w pomieszczeniu bez dachu, pośród szczurów. (No, tak, ale spróbujcie ich wyprowadzić!). Że rolnik Stanisław Chmielewski też śpi w podobnych warunkach. Z 4 ha sprzedał państwu produkty za 115 tys. zł, a mimo to nie wolno mu się budować, ani dokupić ziemi. Ktoś uznał, że wszystkiemu winien sekretarz Biura, Adamus, który rządzi za plecami naczelnika. Antoni Adamus wyłonił się zza kotary i począł tłumaczyć, że nie wchodził na salę, bo go nikt nie zapraszał, a poza tym jest dzień przyjęć interesantów, więc musiał wychodzić do gminy. Przyznał, że wydawał zezwolenia na budowy, bo to był jego obowiązek, a że pozmieniano plany, to już nie jego wina. Przy likwidacji ruder rozebrano i kuźnię, nowej nie był „władny" postawić. Na to pani Łucja Kluczyńska oświadczyła, że ostatnio pan Adamus strasznie ją zbeształ, zmieszał z błotem i odprawił z Urzędu z kwitkiem. Pan Adamus w pierwszej chwili nie poznał pani Kluczyńskiej, ale zaraz potem ją sobie przypomniał. Ludzie mówili, że jak Adamus uzgadniał termin i miejsce zebrania, to powinien siedzieć na sali. I że on jest „ze szkoły Gawrońskiego"; arogancki, opryskliwy, ubliża ludziom i wyrzuca ich z biura. Jednym słowem, odstrasza ludzi od władzy i trzeba go zdjąć. No tak, ale to nie zebrani powierzali mu stanowisko.

Głos zabrał sekretarz KG partii, Zdzisław Kuras. Stwierdził, że bardzo ciężko jest ściągnąć do gminy dobrych fachowców, ponieważ płace są niskie i nie ma mieszkań. Mimo to, partia obserwuje uważnie pracowników Urzędu i złych, nie potrafiących sprostać obowiązkom, powoli eliminuje. Odeszli już: geodeta Zapart oraz inspektor budowlany, Suszkowa. (Z sali krzyczano, że brali łapówki). Sekretarz Kuras przeprowadził wcześniej rozmowę z panem Adamusem. Jest to człowiek impulsywny, zmęczony i rozdrażniony, ale dobry fachowiec. Sekretarz nie zamierza bronić Adamusa, ostrzegł go, że po kolejnych scysjach z interesantami trzeba się będzie pożegnać. Pan Adamus powinien skorzystać z szansy, należy mu jednak dać trochę czasu.

Mieszkańcy Starowej Góry podjęli wniosek, że Antoni Adamus nie nadaje się na zajmowane stanowisko. W tej sprawie wypowiedzą się jeszcze na zebraniach pozostałe wsie i wówczas się ustali, czy pan Adamus może pełnić swą funkcję w Urzędzie Gminy.

Porozumienia zawarte między komisją rządową i strajkującymi rolnikami w Rzeszowie pozwalają żywić nadzieję, że 3 marca 1981 roku był pierwszym i ostatnim dniem sądnym w Rzgowie. I nie tylko w Rzgowie. Dotyczy to zwłaszcza takich punktów, jak sprawa nienaruszalności chłopskiej ziemi i prawo do jej dziedziczenia, zniesienie barier utrudniających nabycie gospodarstw ludziom pragnącym wrócić z miasta na wieś, uchylenie ustawy o przymusowym wykupie nieruchomości i przejmowanie ich na własność państwa. Naczelnik gminy uzyska szereg uprawnień, ale będzie z nich mógł korzystać tylko za zgodą samorządu wiejskiego.

WANDA KARCZEWSKA

nikt nie będzie znał naszych imion

FRAGMENT POWIEŚCI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— i oto jestem tutaj po więcej niż dwu dziesiątkach lat od tamtych dni, kiedy przybyłem na tę ziemię szukać Joanny, i nie poznaję tego miejsca, jakbym nigdy go był nie widział, jakby z brzegów tego ogromnego jeziora wystąpiła wielka woda albo jakby z niedalekiego morza przyszła tu ogromna fala i zmyła z konchy wgłębienia na łagodnym stoku wszelki brud i błoto, wszelką bezradność, nieudolność i małoduszność, i nieprawość wszelką, i zostawiła miejsce czyste, urodzajne na kiełkowanie nowego życia, na wzrastanie jego bujności. W tej świeżej bujności nie brak popiołu pamięci form kalekich, form pokrzywionych ale one zastygły już w czasie jak drobne owady zastygają w bursztynie, i my już nie pamiętamy tych owadów w ich szamotaniu się rozpaczliwym w zastygającej żywicy, widzimy je tylko — jak zamknięte w bursztynie opalizują, przydając ceny tym skamienielinom przeszłości.

A tamtego lata sprzed więcej niż dwu dziesiątków lat, opuściwszy barak wzniesiony z desek na miejscu zbombardowanego dworca, wnurzyłem się od razu w dwurząd wypalonych domów o zczerniałych murach i ślepych wyrwach po oknach pozbawionych nie tylko szyb ale i wszelkich szczątków ram, a idąc ciągle naprzód by dojść do jakiegoś siedliska ludzkiego grzązłem po kostki w odłamkach szkła nieuprzątniętego jeszcze od wojny, mimo że upłynęło od jej końca kilkanaście lat; zapadałem się w bajora błota zmieszanego ze starymi szmatami, zbutwiałymi liśćmi i kosmykami zrudziałej trawy i chwastów; potykałem się o sterty potłuczonych cegieł, dachówek i wywleczonych ze spalonych domów kafli piecowych, pogniecionych wiader, kółek żelaznych, kawałków blach i skorup. Dalej — między małą osadą ocalałych, odartych z tynku, postrzelanych parterowych domków — widziałem był wtedy na rozgrzebanych trawnikach nastroszone kury szukające żeru; jeszcze dalej, już przy ruinach starego Ratusza zrównanego w działaniach wojennych niemal do samego parteru wystraszone chude kozy melły w pyskach resztki kory obdzieranej z drzewek na śródmiejskim skwerku. Dopiero tutaj, pośrodku ruiny śródmieścia, dostrzegłem był wtedy parę podreperowanych czy ocalałych z wojny kamieniczek ale o fasadach tak zniszczonych, że nie domyśliłbyś się, w jakim wieku powstały. Zobaczyłem też jakieś dwie chłopskie zabiedzone furki zaprzężone w wynędzniałe konie. Przeganiał je zgrzytliwy traktor jazgocząc na błotnistym bruku jakby za chwilę miał się rozpaść i pogubić swoje żelazne wnętrzności. Napotkani wówczas przechodnie mieli ziemiste, ścięte chłodem i troską twarze, na nogach — zabłocone, schodzone po tych wertepach ciężkie gumiaki, na grzbietach — burozielone, stebnowane kurtki podobne do wojennych waciaków, jakie nosili radzieccy żołnierze. Front tutaj trzymał się przez parę tygodni.

To było dawno temu, a gdy się teraz patrzy na to Miasteczko nad Wielką Wodą, tak nazywa się to ogromne jezioro, wydaje się, że to nie przed dwoma dziesiątkami lat temu byłem tutaj, lecz, że minęły chyba ze dwa wieki. I nie wiem jak to jest, że nikt z nas nie był zdolny wtedy albo nie kwapił się odczytywać z usypisk ruin — dawnej architektury tego Miasta. Jakie ono było zanim je rozwaliły bombowce i działa armatnie, i nikomu nie stało na tyle wyobraźni aby pomyśleć, jakie być może za dwa, trzy dziesiątki lat. A jest ono — patrzę teraz — urzekająco harmonijnym stopem tego, co było w nim starowieczne i tym, co może mądry architekt zbudować nowego na gruzach czasu, no — powiedzmy — wokół podniesionych z gruzów gotyckich kamieniczek, i wrzeźbić się w pejzaż sosnowoleśnego zbocza — półkolami niewysokich, o barwnych logiach piętrowców, od których opadają w dół wąskie uliczki Starego Miasta zbiegając koncentrycznie ku rynkowi z gotycko-renesansowym Ratuszem.

I oto jestem teraz śród nich, i tu, gdzie lata temu bił w moje nozdrza cuch spalenizny, smród gnicia wszelkiego i woń końskiego moczu, bydlęcych i ptasich odchodów teraz czuję płynący ze stoków — żywiczny zapach lasu, z przeciwnej strony, z dołu, od Wielkiej Wody — gorzkawą woń tataraku, a z pośrodka, z Miasteczka — słodycz floksów kwitnących pod oknami domków, zaś od rynku, spod murów Ratusza — nikły, ledwo wyczuwalny zapach magnolii.

I zdaje mi się, że wstąpiłem w łagodny sen, śniąc nieprawdziwe Miasteczko z nieistniejącego czasu lecz ujrzany nagle prześwit prowadzi mój wzrok w górę i — Czuję ściśnienie serca: stąd, z tego samego ale zupełnie teraz inaczej wyglądającego miejsca — był to wówczas błotnisty placyk wokół przystanku autobusowego, a teraz jest wysepka z kolorowymi kwiatami w kamiennych wazonach — stąd widać było w górze, na krawędzi łagodnego zbocza — jak i teraz — białe nagrobki i krzyże. To właśnie tutaj, w tym miejscu, stałem przed wiekami, to jest przed owymi przeszło dwoma dziesiątkami lat — z Joanną. Była sina. Dygotała z zimna, skulona w granatowym waciaku, przygarbiona pod uwierającym ją zgrudziałym losem. Wtedy właśnie patrząc na białe sześciany nagrobków w górze pod lasem i na połupane pociskami krzyże, Joanna mruknęła: najlepiej byłoby położyć się tam, nareszcie spokojnie by się odpoczywało.

Miała wówczas osiemnaście czy dziewiętnaście lat, nie wiem dokładnie, nie chce mi się liczyć, nieważne zresztą; o ile nieważne mogą być takie słowa w ustach osiemnastoletniego człowieka. Obruszyłem się wtedy, coś ty, Joanno! Ona jakby się opamiętała albo zawstydziła. Mruknęła: albo rzucić to wszystko w czorty, tego niby-ojca, niby-matkę, ten cały bajzel tutaj, Polskę całą i jechać gdzieś — —

— Dokąd, do kogo?

Zamyśliła się chmurnie; wzruszyła ramionami, a czy ja wiem, takie to tam gadanie — — I naraz zajarzyło się w jej zielonych źrenicach światełko, powiedziała, a choćby do stryja, do Pensylwanii; wiem, tam pojadę — — Jeżeli on tam jeszcze gdzieś żyje. Parę lat temu był, wykładał na uniwersytecie, pisał stamtąd do ojca, żeby przyjechał ze mną ale — — Ale nie — światełko w jej oczach zgasło — nigdzie się stąd nie ruszę, nie mogę, nie wolno mi; to by była dezercja i właśnie ja nie mogę tego zrobić. Muszę tu zostać aż — — Ostatnie słowa zmełła w zębach.

Dałbym wiele aby znać te słowa. Może uchroniłoby to nas wszystkich, ją przede wszystkim, przed chwilą ostateczną jaka przerwała jej drogę, „drogę do Pensylwanii" — —

I właśnie o tym człowieku, dramatyczną historię tego człowieka, Joanny, Joanny Günther, dziecka swojego czasu, chcę opowiedzieć, ponieważ bez dziejów jej krótkiego, tragicznie zakończonego żywota, historia naszego czasu byłaby niepełna. Muszę to uczynić ja, Filip Kamieniarz, ktoś to musi zrobić, ponieważ moja siostra pisząca, Maria, na żadnej ze „stosu swoich kartek" nie ukazała tworzy Joanny dorosłej, dojrzewającej do śmierci, jakby chciała najmniejszy ślad prowadzący do zagadki tej śmierci starannie zatrzeć. Aby nikt tym tropem nie poszedł i nie dotarł do niejasnych, utajonych w chłamie czasu, przyczyn jej odejścia. Raz tylko mignął mi pośród rządków liter Marii — żółty cmentarny kopczyk Joanny, ledwo dotknięty kilkoma słowami; było to jakby motyl-żałobnik przysiadł na fioletowym, kłującym oście i zerwał się jeszcze prędzej niż się zbliżył, pofrunął w gwałtownym uleceniu dalej, jak najdalej, by zanurzyć się w świat nie umarłych ale przeciwnie — w bujne życie, w sam jego pienisty żywioł, jakim się Marii wydał wtedy żywot naszego ojca, Piotra Kamieniarza.

Zapyta ktoś, skąd tobie, nauczycielu historii w grodzieńskiej szkole, do pisania ballady o Joannie (umyśliłem sobie, że powinna to być ballada)? Skąd? Może z tej odrobiny odwagi, jakiej nabrałem korespondując z Marią. Pisywaliśmy wtedy do siebie takie długie tasiemce i na dobrą sprawę można by z tych listów też złożyć sporą książkę, np. „Filip i Maria" lub „Listy Filipa do Marii"; takie napęczniałe były te nasze koperty, nie tyle od ilości zawartych w nich kartek ale od tego, co w nich żyło, kłębiło się, wrzało i zastygało — w śmierć.

Więc jestem tutaj ponownie, w Pasłękach, teraz ze szkicem nagrobka na mogiłę Joanny; jestem z polecenia Marii, tak samo jak niegdyś, gdy tu przyjechałem także na prośbę mej siostry aby szukać żywej Joanny; zobaczyć dokąd zbiegła ,co sie z nią dzieje, z tą dziewczyną-córką-niecórką-przybraną Marii.

Najpierw musiałem odnaleźć Ulę. Ula — bo takie jest imię rówieśnicy Joanny, z którą niegdyś przyjechała tu w gromadzie dziewcząt i chłopców z głębi kraju — Ula jest teraz tęgą dziopą o pospolitej buraczanej twarzy. Wydzwoniłem ją z biura aby mi pomogła odnaleźć grób Joanny. Idąc ze mną do kamieniarza u którego miałem zamówić nagrobek, Ula popatruje na mnie kosopodejrzliwie, skąd ten nagły, po tylu latach, pomysł pomnika, skąd takie niespodziewane przypomnienie nasze, to jest Marii i moje, po niepamiętliwości w ogóle. Tłumaczę, Maria nie jest już młoda; przyszło jej po prostu w pewnej chwili do głowy, że z latami tę piaszczystą mogiłę Joanny rozmyje deszcz, rozwieje wiatr — —

Przez pospolitą twarz Uli przesunął się cień nieskrywanej niechęci, nie, chyba nie do mnie, do Marii raczej. Powiedziała z przyganą, rozciągając półsmutno-półironicznie słowa: prooooszę Paaana, dopóki my tu żyjemy i doopóki nasze dzieci będą żyły, a przede wszystkim dopóki jest nasz rówieśnik Jooonasz — grób Joasi, jak nie był do tej pory, tak nigdy nie będzie opuszczony. On ugina się od kwiatów, myśmy nie zapomnieli o niej tak, jak — —

Znowu utknęła na jakimś słowie, na pewno na imieniu Marii. Rzekłem, to Jonasz jest jeszcze tutaj? Ula obruszyła się:

— Więcej niż połowa naszej brygady została tutaj i zakorzeniła się na dobre w tej ziemi. My zresztą nie mówimy na nią „ta ziemia" ale nasza ziemia, nasze Pasłęki, nasze jezioro Wielka Woda i nasz brzeg Odry. Po tych zielonych uliczkach naszego Miasteczka biegają teraz nasze dzieci, prawie wszyscy mieszkamy w tych kolorowych piętrowcach; na skwerach z magnolią opalają się w wózkach dzieci naszych dzieci — — Jonasz? Jonasz najpierwszy z nas wiedział, że tu zostanie na zawsze; jest jak ścięty pień rosochatej wierzby ale tak mocno wczepiony w tę ziemię korzeniami, że go nie wyrwiesz, choćbyś chciał. Pracuje w tartaku. Popołudniami, w wolne godziny rzeźbi w drzewie Chrystusy Frasobliwe, podobne do niego. Struga z klocków Marie, Magdaleny. Wszystkie mają nieco przygarbione ramiona, ledwie zaznaczone rysy twarzy przypominające rysy Joanny. — — Taki z niego niedzielny artysta. Jest sam. Kiedy pytamy, dlaczego wciąż jest sam, odpowiada wskazując rzeźby, to są moje dzieci. Widujemy go przy grobie Joanny. Postawił u jej wezgłowia — rzeźbę, kloc z grubsza ciosany przypominający kształt kobiecego ciała; od głowy aż do serca biegnie przez nie szczerba, jakby ktoś uderzył je w głowę toporem i rozłupał na połowę. — Jonasz — — Łagodny, melancholijny dziwak — —

Siedzieliśmy z Ulą na obrzeżu cmentarza, na niskim murze zbudowanym z dużych, chropawo ciosanych brył kamiennych. Patrzyliśmy w dół, na Miasteczko w kotlinie. Ula oparła dłoń o kamień cmentarnego ogrodzenia, mówiła, tego muru też tutaj do niedawna nie było. To Sławek, dzisiaj inżynier, wówczas jeden z chłopaków z naszej brygady, zaplanował rozbiórkę starego, zwietrzałego podmurowania z tkwiącymi w nim pogiętymi, pordzewiałymi sztachetami z żelaza; on zaprojektował ten niski mur z kamiennymi ławami w nim wykutymi. Przychodzimy tu nieraz w pogodne dni i patrzymy; za nami są groby, śmierć, przed nami — powstałe z gruzów miasto, życie. Siedząc tu, myślę nieraz, czy za dwadzieścia, trzydzieści nowych lat będzie ktokolwiek pamiętał, że jechaliśmy tu, na Zachód, całymi falangami, że to myśmy wywozili z tego miasta gruz, żelastwo, szkło, że w okolicznych „poniemieckich" stajniach dworskich myśmy rąbali kilofami skamieniałe warstwy gnoju, że myśmy się ryli w błocie wiejskich dróg, w glinie i tłustych zakisłych madach ugorujących kilkanaście lat od wojny, żarliśmy suchy chleb zapijając czarną, gorzką kawą — —

Ula zachłysnęła się, chyba wzruszeniem niespodziewanym dla samej siebie, potem opanowała się i z goryczą:

— ... a jak kto nie wytrzymywał głodu i mrozu, i ciężkiej roboty, to wyjechać nie mógł, bo umowa, a jak uciekł, to go milicja ciupasem jak zbiegłego więźnia odstawiała; były takie wypadki u nas — — Nikt nie będzie znał naszych imion, a przecież to my jesteśmy cząstką historii tego Miasta, takich miast i wsi na Ziemiach Odzyskanych — — Cząstką historii tego kraju — —

Tak mi mówiła ta buraczana Ula o pospolitej twarzy i — i właśnie wtedy, na pewno wtedy dookreśliła się we mnie podświadoma chyba jeszcze myśl o potrzebie spisania tej historii aby imiona Joanny, Uli, Helenki, Adama, Sławka i Jonasza nie zostały tylko imionami na nagrobkach, które powoli deszcz i czas wytrawi z kamienia.

I właśnie wtedy powiedziałem ostrożnie i czujnie, aby się nie zdradzić, po co właściwie tu przede wszystkim przyjechałem:

— Ta historia wcale nie musi być zapomniana, tylko trzeba ją odtworzyć — z pamięci, z listów, z dokumentów, z kronik, jakie tu prowadziliście; z gazetek ściennych; z pamiętników. Na pewno niejedno z was je pisało. Joanna też to robiła. Wspominała mi Pani o tym, a może ktoś inny z was, może Helenka, kiedy tu przyjechałem pierwszy raz aby odszukać Joannę. Tak, to Helenka opowiadała, że Joanna wieczorami, gdyście gasiły zawieszoną pod sufitem żarówkę, usypiając w wilgotnej, chłodnej duchocie na swoich pryczach, na siennikach wypchanych słomą, nieraz tak zmęczone, że nawet wam się przed snem rozebrać z waciaków i ciężkich butów nie chciało aby umyć się w lodowatej wodzie w miednicy ustawionej obok na stryszku — wówczas Joanna zaciągała przy swojej pryczy zawieszoną na sznurku zasłonkę, zapalała świecę i całymi godzinami gryzmoliła coś w brulionach, szeleszcząc kartkami do świtu. Chowała te zeszyty, Pani to musi wiedzieć, sypiałyście przecież w jednej izbie, sześć was było, chowała te bruliony do walizki zamykanej na klucz, trzymała ją pod łóżkiem, a gdy wyjeżdżała na dzień dwa ,do ojca — zabierała ten pamiętnik; nosiła go w torbie — to już ja wiem, widziałem tę wypchaną torbę, spotkałem Joannę w pałacu w Nagrabowicach, gdzie jej ojciec pracował w muzeum — — Co się stało z tym pamiętnikiem? Nie znaleźliśmy nic takiego w papierach po Joannie, jakie Pani odesłała potem do Marii.

Ula spojrzała nieufnie, powiedzmy — niespokojnie i nieufnie, a może nawet bardziej nichętnie — badawczo niż niespokojnie. Powiedziała znowu rozciągając słowa; teraz zorientowałem się, że to rozciąganie miało oznaczać takie tam sobie gadanie o czymś niezbyt ważnym, o czym się pamięta ale nie za mocno:

— Nieee wieem, o czym pan mówi — — Może ona pisała coś tam w swoich brulionach, ale cooo? To chyba były wiersze albo kawałki opowiadań a może artykuły do gazet; ona się nieraz w zacietrzewieniu odgrażała, że napisze do gazet o naszej mordędze, o tym jak nas oszukali, kiedy tam, gdzie każde z nas żyło, zanim tu przyjechaliśmy, obiecywali złote góry, dolinę mlekiem i miodem płynącą a potem okazało się — — Odgrażała się ale nikt z nas nic takiego Joasinego nie czytał. Były artykuły jakichś dziennikarzy, literatów ale Joasi nic — — Pewnie się zniechęcała do swoich pomysłów, a może chciała, a nie umiała napisać — — A jeżeli to był tylko pamiętnik, może go ktoś zniszczył, może sama Joasia? Mówiłam panu wtedy, jak pan tu przyjechał po jej śmierci zabrać rzeczy, że Jonasz zaopiekował się nimi; wyniósł z naszej izby na poddaszu wszystko, razem z tą walizą zniszczoną od ciągłego szurania spod łóżka i z powrotem. Odesłaliśmy siostrze Pana to, co Jonasz nam oddał; co chciał oddać. On to robił z niechęcią i nawet z gniewem. Rzucał się, po co im to? Im to niepotrzebne tak samo jak Joasia im była niepotrzebna. To moje wszystko! Książek, mówił, nie oddam, notesu nie oddam. Zwrócił tylko listy, niektóre zresztą. Inne spalił. Bruliony? Jakie bruliony, pytał, gdy raz wspomniałam o nich, nie ma żadnych brulionów. Nic nie ma!

Nagle Ula spojrzała na mnie uważnie i jakby ostrzegawczo, powiedziała szybko: a jeżeli tam coś było, czego Joanna sama nie zniszczyła, bo nie zdążyła tego zrobić, a co Jonasz ukrył albo zniszczył, toooo — — To może powinno to być zapomniane. W zapiskach Joasi mogły być przecież słowa i myśli, jakie się tylko po nocach dla siebie samego spisuje albo w złych snach wypowiada, jakich by się ludziom na jawie nigdy nie powiedziało. One przecież mogły dotyczyć osób, które jeszcze żyją. Dla nich te słowa, teraz znowu przypomniane, mogłyby być przykre, gorzej niż przykre; okrutne nawet. Wydawać to na pastwę cudzych oczu? Teraz? Po co? Po co grzebać się w przeszłości, to nie ma żadnego sensu. Było, minęło, uładziło się wszystko. Teraz jest dobrze, jest spokojnie — —

Przerwałem jej gwałtownie:

— Ula, pamiętniki bywają nieraz najbardziej wartościowymi źródłami poznania historii, zwłaszcza te pisane na gorąco, bez osłonek. One oddają klimat, smak czasu, temperaturę uczuć, z jakimi ludzie przeżywają zdarzenia. Pamiętniki dobrze służą historii. Mówi pani: „Po co przypominać, było, minęło, teraz jest dobrze, jest spokojnie?'" Rozbiory — proszę Pani — też minęły! Targowica minęła, wojny minęły, Powstanie Warszawskie, rok 56 także i siedemdziesiąty również. Po co przypominać? Teraz jest dobrze, jest spokojnie? Nie, nie można żyć bez znajomości historii, bo żyć będziemy jak naród z okastrowanymi płatami mózgu, naród, który ma zapomnieć to co złe, ponure w historii, przeżuwać może jeszcze z matołkowatym uśmiechem wybrane, te „uładzone", „spokojne" lata, nie umiejąc myśleć, kojarzyć faktów, opanować pełni historii wiedzą, rozumem i wyciągać wnioski tak aby się zło nigdy nie powtórzyło. Po co przypominać? Pani proponuje „białe plamy" historii? Żadnych białych plam!

Zdaje mi się, że się uniosłem, może nawet zbyt głośno mówiłem. Posłyszałem bowiem nagle lekko drwiące:

— Uff! Aale się paan gorączkuuje! Zupełnie jak by paan był wówczas tutaj przez cały czas z nami, miał na własnej skórze zakarbowane tamte lata, jakby to pan zapłacił wysoką cenę za to, że teraz jest spokój, jest dobrze — —

Zirytowało mnie to gardłowo-nosowe jakieś jakby nonszlanckie przeciąganie sylab. Skoczyłem na nią znowu:

— Pani wybaczy, jestem nauczycielem historii, historykiem, mnie zawsze doprowadza do białej gorączki kurza ślepota, zamykanie oczu na historię, na cenę jaką się płaci — — Czy nie warto znać ceny, za jaką jest teraz — jak pani powiada — spokojnie, jest dobrze? Ceny, jaką ofiarna część ludzi chciała a potem już musiała płacić za to, żeby komuś było kiedyś żyć wygodnie, spokojnie? Nie uda się tych białych plam historii utrzymać ani na długo, ani na zawsze, choć się nie mowi i nie pisze o nich. One zawsze w końcu wyleżą. Ktoś je odkryje, wywlecze zdarzenia zapomniane lub zatajone w milczeniu. Czy nie lepiej — jeżeli chodzi o waszą historię tutaj — abyśmy to robili, my sami, na przykład ja i Maria, ludzie którzy potrosze uczestniczyli w waszych cierpieniach, buntach i goryczy, niż gdyby zaczęły w tych dokumentach-pamiętnikach grzebać obojętne ręce ludzi, dla których te bruliony to tylko martwy szeleszczący papier, lub co gorsza żeby to były ręce fałszujące dokumenty dla jakiejś doraźnej użyteczności? Ulo, pani słowa utwierdzają mnie, że te bruliony Joasi nie są bez znaczenia, że trzeba je wydobyć i — —

Nie dokończyłem, bo ta buraczana, na pozór nijaka kobieta nagle zaserwowała mi — chytry, byłem tego pewny — chytry cios:

— Nawet gdyby dotyczyły one siostry pana, Marii, znanej pisarki? I pana także? I ojca Joanny, sławnego historyka sztuki, którego wczoraj widzieliśmy w telewizji jako komisarza wystawy polskiej sztuki nowoczesnej w Gandawie? Nawet gdyby się w tych brulionach kryły brudy, z których pewni ludzie mogą mieć niezłą uciechę?!

Wypaliłem „nawet", bez namysłu, ale w połowie słowa skóra mi ścierpła na plecach: co ta Joanna — we wzburzeniu, gniewie, w rozpaczy

mogła tam powypisywać. Po sekundzie jednak dreszcz niepokoju minął; zacząłem mówić spokojnie, zanurzając się pamięcią w tamten bolesny dla Joanny, gorzki dla nas wszystkich czas:

— Ulo, myślę, że tylko mali, nikczemni ludzi spisują cichaczem takzwane brudy i nędzę życia ze skrytą uciechą aby oskarżyć o nie innych, jeszcze za życia, lub zostawiają je „na po śmierci" z tchórzliwą radością: „A ja wam wszystkim pokażę! Popamiętacie mnie!". Ale Joanna? Joanna mogła tam pisać o cierpieniu, o bólu — swoim i waszego życia tutaj, gdy się zaczęła przewalać i kotłować ta cała magma — pionierów ściągniętych z całej Polski, a z pionierami — obiboków, szumowin, poszukiwaczy przygód, kombinatorów, którym się w centralnej Polsce ziemia paliła pod stopami. I o te zapiski, przede wszystkim o was, Młodych, uczciwych mi chodzi — —

Mówiłem, jak to sobie teraz przypominam, żarliwie i może się jej ta moja żarliwość wydała podejrzana albo i śmieszna ostatecznie to ona, nie ja, miała tamten czas zakarbowany na swojej skórze, bo nagle posłyszałem takie chrząknięcie-mruknięcie „no, no", co odczułem jako „popatrz, popatrz, ale się facet gorączkuje, coś mu za bardzo na tych pamiętnikach zależy". Dostrzegłem — spojrzała na mnie z zagadkowym, nieco drwiącym uśmieszkiem, odwróciła przy tym głowę, chyba aby ukryć wyraz swej twarzy i powiedziała nieco stłumionym głosem nie bez jakiejś chytrości złośliwej:

No, to niech pan szuka tych pamiętników, niech pan szuka — —

Zabrzmiało to „zobaczymy czy znajdziesz". I wtedy, tak, chyba wtedy przyszło mi do głowy, że w brulionach Joanny mogły się znajdować jakieś notatki o Uli, przecież były ze sobą blisko, choć Ula ze dwa, trzy lata starsza i że kto wie czy owe „brudy" nie dotyczyły Uli. Dlatego ta dziewczyna tak zniechęca mnie do pamiętników Joanny, zataja ich istnienie, dobrze wiedząc kto je ma — — A może ona sama je zamelinowała i nie chce wydać — —

Pomyślałem nagle „cwaniara" i równocześnie „ona się boi, boi się ujawnienia zapisków Joanny, może w nich chodzi o coś więcej niż o jakieś jej intymne sprawy, Uli; o coś bardziej ważnego. Joasia — przyszybowało to naraz z dna mojej pamięci — powiedziała kiedyś o Uli, „ta misjonarka". A o Sławku i Uli: „misjonarze! Oni mieli tylko do spełnienia — misję! A potem — —"

I może właśnie dlatego odezwałem się wcale nie ukrywając tonu uporu w głosie:

— Będę ich szukał, oczywiście, że będę. A — jeżeli pani się dowie o istnieniu brulionów Joanny w czyichś rękach, to proszę powiedzieć jej czy jemu, że takie pamiętniki, jeżeli się nie chce ich wydać w ręce ludzi — powiedzmy — niepowołanych powinny się znaleźć w archiwach historycznych aby służyć pokoleniom za źródło wiedzy o czasie, który był, minął ale — zapomniany być nie może.

Ula powstrzymała coś, co mogło być parsknięciem, śmiechem; po chwili powiedziała:

— Ale pan wystrzelił z grubej armaty! Pamiętniki Joasi i aż archiwa historyczne! A jeżeli to były zwyczajne bazgroły tak zwanej panienki z lepszego domu, która pierwszy raz powąchała twardego życia?

Wtedy ja strzeliłem, tak na chyb a traf:

— A któż to przed parunastoma minutami mówił o ryciu się tutaj w gnoju i błocie, o łzach wściekłości, kto powiedział z goryczą „i nikt nie będzie znał naszych imion"? Jeżeli pani, twarda dziewczyna tak to pamięta, że jeszcze teraz gorzko pani w gardle, to wrażliwa, tak, bardzo wrażliwa Joanna miałaby tego nie czuć i nie o tym właśnie pisać?

Ula przekrzywiła głowę: wydało mi się to gestem zastępczym: może chciała wzruszyć ramionami ale ograniczyła się tylko do tego nijakiego poruszenia głową: powiedziała — a było to takie powiedzenie na odczepne:

— Dobrze, dobrze, jeśli się kiedyś natknę na kogoś, kto będzie miał któryś z brulionów Joasi, to mu powtórzę słowa pana — —

I tak się rozstaliśmy. Zyskałem jedno: wiedzę, że pamiętniki istniały, że istnieją, może nie wszystkie, że jeżeli Ula przyciśnięta do muru prześle mi „któryś" z brulionów Joanny, to będzie to właśnie tylko „któryś".

Ale będę szukał tych pamiętników. Strzępków wspomnień, listów, cudzych relacji z tamtych czasów; ludzi ,którzy Joannę znali, byli blisko niej, tutaj, w Pasłękach nad Wielką Wodą, i gdzieindziej — — Będę szperał w papierach Marii, zaglądał w oczy Henrykowi, ojcu Joanny — —

I oto szukam ich. Idę w czas przeszły, dokonany; idę trochę poomacku z ręką wyciągniętą przed siebie jak ślepiec, zanurzam ją w grzązką ciemność małowiedzy aby natrafić na kształty minionych zdarzeń, rozpoznać ich obrysy, przyłożyć do nich dłonie, wyczuć puls i ciepło życia, jakim zdarzenia te były kiedyś napełnione.

Kino europejskie przeżywa jeden z poważniejszych kryzysów. Frekwencja spada na łeb i na szyję. I tak np. we Włoszech w roku 1976 odnotowano 465 milionów widzów, a w roku 1980 już tylko 250 milionów (Włochy liczą obecnie około 60 milionów mieszkańców). Zamyka się sale kinowe w Rzymie i na prowincji, kina bowiem świecą pustkami. W San Remo — w końcu światowej renomy, kurort — ludzie spacerują po nadmorskich bulwarach i wysiadują godzinami przy kawiarnianych stolikach. Na seansie najnowszego i głośnego przecież filmu **Woody Allena „Stardust Memories"**, rozpoczynającym się o godzinie 15.30 siedziałam sobie sama jedna w dużej i wytwornej (zwłaszcza w porównaniu z naszymi kinami!) sali. Na ostatnim zaś seansie wystrzałowego bądź co bądź szlagieru **„Lili Marleen" Fassbindera** było na widowni może 30 osób, i to w niedzielę!

Na tę katastrofalną sytuację składa się wiele przyczyn. Bilety znacznie podrożały. W dużych miastach ludzie boją się wychodzić wieczorami, mnożą się bowiem napady rabunkowe. W Rzymie powoli zamiera życie nocne. O 8 wieczorem zamyka się bary w dzielnicach położonych dalej od centrum, czynne ongiś do północy lub dłużej. Pustoszeje nawet słynna Via Veneto, uwieczniona przez Felliniego w „Słodkim życiu". Bywalcy modnych lokali boją się pokazywać stale w tych samych miejscach jak to niegdyś leżało w zwyczajach wielkiego świata. Boją się porwań, napadów, terrorystów. Wspaniały nocny spektakl na ulicach Wiecznego Miasta należy już do przeszłości. Życie towarzyskie kwitnie w domach prywatnych.

Natomiast pozytywnym ewenementem ostatnich lat stał się renesans teatru. Teatr kosztuje dziś nie tak znów wiele więcej niż kino. Teatry organizują nadto specjalne przedstawienia, tzw. rodzinne, stosując cały system ulg i abonamentów. Przestał obowiązywać towarzyski przymus „ubierania się do teatru". Teatr gwałtownie zdemokratyzował się, a zarazem obrał politykę ambitnego repertuaru. Jeszcze do niedawna aktorzy traktowali scenę jako pomoc do kariery ekranowej. Dziś jest całkiem odwrotnie. Filmowe gwiazdy pragną za wszelką cenę sprawdzić się na deskach scenicznych. Reżyserzy filmowi coraz chętniej garną się do inscenizacji teatralnych, tym bardziej, że film stwarza coraz mniej możliwości ambitnych poczynań. Sukcesy włoskie teatru Starego z Krakowa i ogromne powodzenie „Wielopola, Wielopola" Tadeusza Kantora, stanowią dodatkowe świadectwo owego wzrostu zainteresowania teatrem, który daje znacznie żywsze niż kino, poczucie uczestniczenia w kulturze, tradycji, umożliwia bezpośredni kontakt ze sztuką i artystami.

O ile ranga sztuki spod znaku Melpomeny tak zdumiewająco podnosi się, prestiż artystyczny kina maleje. Ekrany zalewają utwory trzeciorzędne, miałkie, prymitywne komedyjki, manieryczne dramacidła, tudzież rozmaite mniej lub bardziej zawoalowane świntuszenie erotyczne (inaczej tego nie sposób nazwać). Jedynie od czasu do czasu powstają dzieła wybitne lub przynajmniej ambitne. Polityka kulturalna państwa nie sprzyja rodzimej kinematografii. Rynek opanowali producenci i dystrybutorzy amerykańscy. Amerykanie podkradają Włochom już nie gwiazdy, ale wybitnych operatorów, takich jak Storaro („Czas Apokalipsy") lub Rotunno („Cały ten jazz"). Włoska szkoła operatorska wychowana na świetnej tradycji malarskiej, znakomicie posługująca się światłem i kolorem podbiła Amerykę, a tymczasem mnóstwo rodzimych filmów razi wizualnym niechlujstwem i plastyczną bylejakością.

Sytuację ratuje RAI czyli coś na kształt włoskiego Radiokomitetu, która to instytucja finansuje co ambitniejsze filmowe przedsięwzięcia. Jej zawdzięczamy m.in. **„We władzy ojca" braci Taviani, „Próbę orkiestry" Felliniego**, ostatnio zaś RAI oddała najnowocześniejsze środki technologiczne na użytek najnowszego filmu mistrza Antonioniego, znów po latach z **Moniką Vitti** w roli głównej, a mianowicie **„Tajemnicy Oberwaldu" wg sztuki Jean Cocteau.** Spod opiekuńczych skrzydeł RAI wyszedł też nagrodzony na tegorocznym Festiwalu w San Remo debiut reżyserski **Maurizio Rotundi** pt. **„Lichwa"** — film może niezbyt udany, ale niewątpliwie wykracza poza komercjalne schematy. Filmy tzw. artystyczne mają swoje miejsce w trzecim programie RAI.

Paradoks owego mecenatu polega na tym, że najgroźniejszym konkurentem kina pozostaje jednak telewizja. To ona odbiera mu widzów i racje bytu. Prywatne stacje telewizyjne — a jest ich już sporo — emitują prawie wyłącznie filmy i seriale, w sumie jak notują statystyki — około 400 tygodniowo. Poniektóre stacje emitują nawet filmy porno, jako że w pewnym sensie ich programy wymykają się cenzurze. Dodajmy jeszcze możliwość korzystania z videokaset, a otrzymamy jasny obraz sytuacji. Nadomiar złego kino przestało być atrakcją dla młodych. Nie dostarcza im podniet myślowych i artystycznych, frapujących doznań, zaś zakochane pary wolą korzystać z zacisznego ustronia samochodów. Tłumy młodych pojawiły się pod najbardziej reprezentacyjnym kinem w San Remo, gdy zapowiedziano tam występy rockowego zespołu „Saxons".

MARIA KORNATOWSKA

PĘKNIĘTE ZWIERCIADŁO

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z SAN REMO)

Kinematografii włoskiej grozi w każdej chwili katastrofa. W ostatnich dniach marca odbyło się wspólne posiedzenie stowarzyszenia producentów, realizatorów i pracowników kinematografii. Uczestniczyli w nim wybitni twórcy: **Bertolucci, Bellocchio, Zeffirelli.** Zebranie zakończyło się publiczną manifestacją na ulicach Rzymu. Pod adresem rządu wystosowano listę sześciu postulatów, domagając się m.in. reformy systemu rozpowszechniania, ochrony interesów rodzimej produkcji, mecenatu państwowego, popierającego prawdziwie artystyczną twórczość.

W tym kontekście istotną rolę odgrywają rozmaitego typu festiwale i przeglądy, stwarzając coś w rodzaju opozycji kulturalnej w stosunku do zalewającej rynek komercjalnej tandety, stwarzając szanse promowania dzieł szlachetniejszej jakości. Gromadzą one twórców, krytyków i tzw. aktywnych odbiorców czyli ludzi dla których kino nie jest tylko przypadkową formą spędzania czasu wolnego, ale pasją, oknem na świat, sposobem rozumienia i odczuwania rzeczywistości. Jednym z takich festiwali jest właśnie Międzynarodowy Festiwal Filmów Autorskich w San Remo kierowany od początku swego istnienia przez **Nino Zucchellego,** człowieka rozkochanego w sztuce filmowej, który życie spędza w podróżach z kraju do kraju, w poszukiwaniu „świeżej krwi", nowych autorów, nowych dzieł, nowych kinematografii. Nawet jeśli te odkrycia nie są czasem najwyższego lotu, liczy się przecież sam fakt poszukiwań, możliwości uświadomienia włoskiej publiczności istnienia nieznanych jej obszarów kulturowych. Obce dotąd problemy, odmienne wizje świata przenikają do informacyjnego krwioobiegu.

W San Remo anno domini 1981 wielki sukces odnieśli Polacy. **Grand Prix otrzymał jednogłośnie Janusz Kidawa za „Grzeszny żywot Franciszka Buły".** Film urzekł jury i publiczność barwnością opisów i realiów, zmysłowością wizji, radosną witalnością, soczystością postaci. Treści społeczno-narodowe ujęte w formę plebejskiej ballady nabrały specyficznego wdzięku i uniwersalnej wymowy. Komediowa tonacja zaskoczyła nieco krytykę włoską nawykłą do śmiertelnej powagi, a nawet patosu polskiego filmu. Filmy nasze nie skłaniają do przypuszczenia iż posiadamy nadmiernie rozwinięte poczucie humoru, lub zdolność ironicznego lub autoironicznego dystansu w stosunku do siebie samych, naszej historii i rozmaitego kalibru problemów.

„Grzeszny żywot" był zresztą rodzynkiem niemal wśród 26 filmów konkursowych i 8 wyświetlanych w ramach sekcji informacyjnej. Przeważała bowiem nuta beznadziejności jakiejś, smutku, nostalgii nieokreślonej za „czymś innym", za „gdzieindziej". Rzecz ciekawa — zainteresowania polityczno-społeczne rozbrzmiewały głównie w filmach krajów zachodnich lub trzeciego świata. Kraje socjalistyczne pokazały natomiast utwory kameralne, studia losów jednostkowych, melodramaty.

Klasyczny film polityczny reprezentowały Indie, a mianowicie **„Naxalici" Khwaji Ahmada Abbasa,** dziennikarza, filmowca, pisarza. Film w sposób dla nas egzotyczny opowiada historię ruchu politycznego, które zrodził się wśród chłopów północnego Bengalu gdzieś 12 lat temu; potem ideę rewolty przejęli studenci Kalkuty, a z czasem mimo ostrych represji ze strony władz ruch ten znalazł rzesze zwolenników w całych Indiach. Zdziesiątkowany, rozbity na ekstremistyczne frakcje trwa nadal, znajdując oparcie przede wszystkim w uciskanych i przymierających głodem masach chłopskich. Cała historia, mimo iż w zarysie fabularnym fikcyjna, opiera się jednak na autentycznych faktach i postaciach. „Naxalici" (tak się właśnie ruch ów zowie) łączy w oryginalny sposób publicystykę polityczną z tradycyjnymi elementami kina hinduskiego.

Swoisty paradokument polityczny, acz skonstruowany na kanwie poematu pokazał w sekcji informacyjnej Irak. **Feisal Ll-Yassiri,** wykształcony w Austrii, pracujący czas jakiś w NRD, analizuje w **Strzelcu wyborowym"** sytuację w Libanie w 1977 roku. Poznajemy skomplikowany i niejednoznaczny splot rozmaitych powiązań politycznych, zawiłe spiski i intrygi, których ośrodkiem jest Bejrut.

Japończycy zaprezentowali dramat społeczny **„Przełęcz Nomugi"** reżyserii **Satsuo Yamamoto.** Na tle dziejów Japonii, począwszy od wojny rosyjsko-japońskiej aż po lata kryzysu i narastającego militaryzmu, rozgrywają się tragiczne losy kilku dziewcząt znękanych głodem i nędzą rodzin wiejskich. Dziewczyny podejmują wędrówkę do odległej fabryki jedwabiu, gdzie czeka je okrutny wyzysk i upodlenie. Większość z nich nie potrafi przystosować się do nowych warunków życia i pracy. Ten ponury, dość schematyczny, dramat odbiega mocno stylem od filmów japońskich, które przywykliśmy oglądać na naszych ekranach. Jest bardziej werystyczny, mniej niestety kunsztowny formalnie.

Polityczną groteskę zademonstrowali też Grecy komedią **„Thanassi, zaciśnij no jeszcze trochę pasa" reżyserii Thodorosa Marangosa.** Jest to opowieść o ateńskiej rodzinie, bardzo zabawnej i kochającej się, gdzie mama jest działaczką związkową, a tata porządnym i zdyscyplinowanym pracownikiem. Zwycięża oczywiście, zgodnie z duchem czasu, kobieta i głowa domu przyłącza się w końcu do strajku. Wszystko to odbywa się na grecką modłę czyli śmiesznie. Duch Zorby ciągle jeszcze unosi się nad Grecją, nie przeszkadza to jednak wcale zaczątkom niezależnej kinematografii. Grupa entuzjastów zawiązała coś w rodzaju spółdzielni, która zajmuje się produkcją niskobudżetowych i ambitnych utworów o charakterze polityczno-społecznym. Zauważyć można było, że owe filmy nie budzą już tak żywego, jak przed paru jeszcze laty, oddźwięku na widowni. W pewnych przypadkach na ich korzyść działała raczej egzotyka scenerii i obyczajów niż sedno sprawy.

Osobną kategorię stanowią natomiast filmy kobiece. Coraz więcej kobiet staje za kamerą, jak na razie bez ośniewających rezultatów, ale kto wie co najbliższa przyszłość pokaże. Amerykańska aktorka i dramatopisarka **Joan Harvey** zadebiutowała interesującym dokumentem **„Króliki doświadczalne to my"**, rekonstruującym wydarzenia związane z awarią elektrowni atomowej w Pensylwanii. Collage wywiadów z przedstawicielami rozmaitych środowisk społecznych z naukowcami, lekarzami i reprezentantami rządu zrobiony został inteligentnie, pewną i sprawną ręką.

Jugosłowianka **Vesna Ljubic w „Opornej delcie"** dała na poły poetycką, na poły dokumentalną opowieść o izolowanej wiejskiej wspólnocie kultywującej stare obyczaje, żyjącej rytmem biologicznym, rytmem natury raczej niż historii choć przez wieś coraz to przetaczają się obce armie kradnąc, gwałcąc i mordując. Zagrożenie ze strony najeźdźców i nie dającej się ujarzmić przyrody (ciągłe powodzie) wytwarza w tej społeczności niezwykle silnie spajające ją więzy. Film młodej realizatorki (nagrodzony za zdjęcia i walory plastyczne) odznacza się rzeczywiście urodą dzikich krajobrazów, twarzy ludzkich, gestów i ruchów, umiejętnie eksponowaną grą faktur i barw, zmysłowym odczuwaniem świata.

Dinara Asanowa zrobiła klasyczny melodramat, radziecki odpowiednik filmu „Kramer kontra Kramer". **„Żona odeszła"** jest opowieścią o kobiecie, mimo iż rzecz jest widziana jakby poprzez pryzmat porzuconego (i słusznie!) męża. Asanowa z iście kobiecą zajadłością demaskuje infantylizm, brak wrażliwości i egoizm męża, stawiając miłość (do której zdolne są oczywiście tylko kobiety) jako nadrzędną wartość w życiu.

Inaczej i zapewne w sposób znacznie dojrzalszy patrzy na dylematy rodziny i sytuację kobiety Niemka **Jutta Brueckner,** autorka, chyba najlepszego z kobiecej serii, filmu **„Pierwsze kroki".** Brueckner rozumie że nie sposób niestety żyć samą miłością. Kobieta współczesna nie potrafi obyć się bez rodziny, bez poczucia pewnego oparcia i bezpieczeństwa, jakie daje rodzina, ale z drugiej strony czuje się w życiu domowym jak w dusznej klatce bez perspektyw, bez prawdziwej satysfakcji. W dodatku życie w społeczeństwie dobrobytu jest tak wspaniale zorganizowane, tak perfekcyjnie uporządkowane, że nie ma w nim miejsca na przygodę i ryzyko. Oszczędny, racjonalny i planowy tryb życia „małych kroczków ku górze" zionie nudą i nieautentycznością. Wszyscy żyją tak samo, mają podobne aspiracje, domki, trawniki, pieski, w podobnych porach wykonują identyczne czynności, słuchają zaleceń dotyczących diety, pielęgnacji zdrowia, urody, tudzież życia seksualnego. Nie istnieje nic, co by było naprawdę własne, prywatne i niepowtarzalne. Zachodnioniemieckie „Pierwsze kroki" należały w moim odczuciu do najciekawszych, myślowo niepokojących filmów festiwalu.

Kryzys rodziny, uczuć, więzi międzyludzkich, rozpad wartości, te problemy wracały raz po raz, w różnych wariantach, w różnych kontekstach obyczajowo-społecznych. Stąd może ów ton minorowy, owo wrażenie smutku i szarzyzny, zaduchu i bez nadziei jakie pozostawiała w pamięci znaczna część festiwalowych filmów. Przerażający obraz starości, absurdu istnienia w francuskim filmie **„Martwe czasy" Claude Godarda;** okrutna wiwisekcja przegranego i bezsensownego życia w **„Wszystkiego najlepszego Marilyn!"** Węgra **R. Szöreny,** studium kalectwa w **„Na ramionach olbrzyma" Anglika A. Simmonsa** — to skrajne przykłady psychicznej depresji kina. W **„Gaskach" K. Smyczka** — na pozór wszystko zapowiada się optymistycznie: dziewczęta z internatu, wkraczanie w życie, szanse, perspektywy, przyjaźnie i pierwsze uczucia. Ale im dłużej trwa ten niby zabawny niby ironiczny film — szalenie zresztą przypominający znakomite dzieła czeskiej szkoły sprzed lat 13 — tym smutniej robi się na duszy. Okazuje się nagle, że owo pęknięcie wewnętrzne, któremu świadectwo daje kino dotyczy nie tylko tych, którzy przekroczyli smugę cienia ale i tych, którzy żyć dopiero zaczynają.

I tak zastanawiając się nad festiwalem, który odbywa się w miejscowości bajecznie kolorowej, słynącej urodą kwiatów, łagodnością klimatu, kiczowatym lazurem morza, zastanawiając się nad kryzysem kina — bo nie było w San Remo filmów naprawdę wybitnych, oswajających nowe obszary znaczeń lub nowe formuły formalne — ot po prostu panowała trochę lepsza i trochę gorsza przeciętność, prawdy znane i obserwacje stereotypowe — myślałam także o owym przygnębiającym w swej szarzyźnie, nijakości i pospolitości obrazie świata jaki to kino daje.

„Boska Emma", reż. Jirl Krejcik.

FENOMEN IMIENIEM HARRIS

Foto: Z.W. Nowak

(Dalszy ciąg ze str. 1)

selekcjonował dokumentację. Wystawiono równych 10 000 numerków na ten dzień, poklasyfikowanych skrupulatnie i rozłożonych na różne godziny. Chętnych jednak wciąż więcej, niż możliwości. Wiele więc osób czekać będzie musiało następnej okazji, aby mieć możnosc poddania się tym niezwykłym zabiegom terapeutycznym.

— *Kto wie, może coś w tym jednak jest!* — stwierdzają najwięksi nawet niedowiarkowie, kiedy staną przed trudną do uleczenia chorobą. I nie przebierają w środkach, aby zdobyć numerek, legalnie lub podstępem, szukając chodów i dojść, a w końcu i spekulantów, których nigdy i nigdzie nie brakuje. Wizyty u *Clive'a* — wielkiego przecież filantropa — są oczywiście bezpłatne, lecz (czarnorynkowa) cena numerka potrafi sięgnąć 2000 zł, a ponoc i więcej. Organizatorzy, chcąc zapobiec spekulacji, wprowadzają coraz bardziej drobiazgową rejstrację i coraz bardziej zawiły szyfr na numerkach. Nie odstrasza to jednak tych, którzy chcą łatwo zarobić, nawet za cenę żerowania na ludzkim nieszczęściu. Wiedzą bowiem, że nawet dla najbiedniejszych niczym są te dwa tysiące wobec najniklejszej chociaż nadziei na uzdrowienie schorowanego dziecka czy sparaliżowanej matki, którym „oficjalna" medycyna niewiele zdołała pomóc.

— *Nie wiem, na ile legendy o uzdrowicielskiej mocy pana Harrisa mają pokrycie w rzeczywistości. Za mało wiem na ten temat, żeby się wypowiadać* — powiada *ojciec Maciej*. Nie zmienia to w niczym faktu, że od miesiąca już czyni staranne przygotowania do całej akcji. Rozplanował miejsca zbiórek i wytyczył trasy przemarszu, podporządkowując system organizacyjny generalnej koncepcji. A koncepcja ta w teorii prosta: uczynić z 10-tysięcznej zbiorowości nie tłum, lecz sumę odpowiednio odmierzanych w czasie i przestrzeni grup. W teorii proste, lecz w praktyce może zawieść. Najbardziej się tego obawia klasztorny ogrodnik, który spisał już na straty część mozolnie pielęgnowanych klombów i grządek. W myśl bowiem koncepcji *o. Macieja*, 10 tysięcy ludzi przemaszerować ma po wąskich ścieżkach między rabatami, zmierzając przez ogród na podwórzec, a stamtąd przez kruchtę do kościoła.

Kłopotów zatem co niemiara, a tu jeszcze zwalają się na głowę wścibscy dziennikarze. Kilku udało się już wcześniej spławić. Zwłaszcza że z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Podczas poprzedniego pobytu Kanadyjczyka jeden z dziennikarzy natrętnie zabiegał o dopuszczenie przed jego oblicze, w końcu zaś okazało się, że nie chodziło mu wcale o reportaż, lecz o — numerek. Pan *Clive* nie miał poza tym w Polsce dobrej prasy. Pisano o nim raczej niewiele, a jeśli już, to ignorancko i arogancko. Cóż, nie wszyscy wiedzą, że bardziej tu zawiniła cenzura, niż sami dziennikarze.

Dowiadujemy się o tych zastrzeżeniach podczas pertraktacji z komitetem organizacyjnym, w których pośredniczy przystojny zakonnik w przyciemnionych wiedenkach. Wszystko to jednak drobiazgi w zestawieniu z argumentem koronnym: *Harris Clive* musi mieć podczas pracy absolutny spokój, umożliwiający mu koncentrację. Jakiekolwiek zakłócenia — ot, błysk flesza czy nagłe pytanie — wytrącić go mogą z transu, a wtedy przerwie seans i tysiące ludzi odejdą z kwitkiem. Nie, komitet nie może pójść na takie ryzyko. Zdarzyło się przecież już kiedyś, że *Harris* niespodziewanie zemdlał...

Z głębi klasztoru wychodzi młody kleryk. Nie ma pewnie i dwudziestu lat. Zbliża się do niskiej kobiety w wiejskiej chustce. Przyjechała chyba z daleka. Uderzające podobieństwo. Tak, to jego matka. Rozmawiają cicho, lecz dobiega do nas fragment dialogu: — *Nic, nic się nie da zrobić* — wyjaśnia syn. — *Może następnym razem, kiedy Harris znów przyjedzie.* — *Właśnie, nie jest łatwo dostać się do niego.*

Jest wreszcie i *ojciec Maciej Krzymowski*. Uosobienie spokoju i życzliwości. Prowadzi nas do kancelarii. W krótkiej rozmowie przewiną się znów znane już nam obiekcje. I znów my ponowimy swoje deklaracje. Nagle *o. Maciej* uśmiecha się: — *Wiem z listu ojca Lucjana, że mogę panu zaufać.*

A więc ojciec *Lucjan Ubysz* z klasztoru o.o. Franciszkanów przy ul. Rzgowskiej — do którego zawiózł mnie wczoraj *o. Robert Fortgang* — dotrzymał słowa. Telefon w Łagiewnikach zepsuty od trzech miesięcy, *o. Lucjan* pofatygował się zatem sam jeszcze tego wieczoru, *o. Macieja* wprawdzie nie zastał, lecz zostawił mu list polecający. Obaj ojcowie przyjaźnią się od lat, spędzili nawet parę urlopów razem, spływając kajakami po [illegible] i jeziorach.

Chwała ojcu *Lucjanowi*, bo oto *o. Maciej* szufladę biurka otwiera. — *Może nie powinienem tego robić, ale rozumiem, że i panowie muszą wypełniać obowiązki służbowe.* — Dostajemy obaj, z fotoreporterem *Zbyszkiem Nowakiem*, specjalne przepustki.

W czwartek, 9 kwietnia, już o zachmurzonym świcie ściągają do Łagiewnik pierwsi chorzy. *Harris Clive* rozpocząć ma przyjęcia o godzinie 6.00. Sam jest przed czasem. Zdąży jeszcze bez pośpiechu zjeść śniadanie: przez następnych dziesięć godzin nie weźmie niczego do ust, prócz napojów chłodzących i naturalnej kawy.

Rozpocznie punktualnie, aby pracować niestrudzenie, godzina po godzinie, nad tysiącem po tysiącu — pacjentów, przewijających się nieprzerwanym potokiem przez nawę łagiewnickiego kościoła.

Na zewnątrz pracują tymczasowe służby porządkowe. Łódzcy studenci i łagiewniccy klerycy. W większości — rówieśnicy. Pogodni i grzeczni. Informują i wyjaśniają: Sprawdzają numerki i dokumenty. Radzą sobie doskonale z nadciągającymi ze wszystkich stron gromadami ludzi. Co rusz nadchodzą kolejne grupy od podmiejskich autobusów, nadjeżdżają też zewsząd prywatne samochody, taksówki i sanitarki. Na dużej otwartej przestrzeni nikną jakoś setki ludzi i dziesiątki samochodów. Nie ma tłoku i zamieszania: koncepcja *o. Macieja* sprawdza się, a służby porządkowe działają bezbłędnie. Do takiego też pewnie wniosku doszli funkcjonariusze MO, których furgonetka długo nie zabawiła pod klasztorem. Milicjanci ustąpili miejsca studentom i zakonnikom. Nawet na zakręcie drogi, u podnóża zabudowań klasztornych, gdzie od czasu do czasu tworzą się motoryzacyjne korki, z precyzją i gracją kieruje samochodami młody kleryk.

Samochody z ciężko chorymi kierowane są w górę po wyboistej drodze, gdzie przejmuje je następny zakonnik, aby wskazać bramę opatrzoną napisem: *„Wjazd dla chorych leżących"*. Brama raz po raz otwiera się, aby przepuścić kolejny samochód. Sprawna pikieta zatrzaskuje ją zaraz, broniąc kościelny dziedziniec przed naporem tych, którzy nie mają numerków, a chcieliby się dostać do wewnątrz.

Z dużego „Fiata" z warszawską rejestracją wysiada pod bocznym wejściem do kościoła młoda kobieta, dźwigająca na rękach nieruchome, dziesięcioletnie mniej więcej, dziecko.

Z pordzewiałej „Syreny" wynurza się otyła starsza kobieta, wspierająca się z trudem na metalowych kulach. Podbiega zaraz do niej jeden ze studentów, wspiera silnym ramieniem w mozolnej wędrówce do kościelnej kruchty.

Zajeżdża też karetka pogotowia, z której sanitariusze w bieli wyciągają nosze. Pod zwojami bandaży otulających bezwładne ciało ledwie dopatrzeć się można młodego mężczyzny. Nawet śmiertelnie blada twarz spowija biały turban.

Ogrom ludzkiego nieszczęścia i ludzkiej nadziei.

Nadziei płonnej? Wiary zabobonnej?

Lepiej powstrzymać się od ocen, nie tylko dlatego, że wiara podobno czyni cuda.

— *Proszę pana, czy to skutkuje?* — pyta jakaś kobiecina brodatego studenta, który wartuje u głównej bramy. Żelazne wierzeje wprawdzie otwarte na oścież, lecz nikt niepowołany nie prześliznie się przez zwarty kordon straży porządkowej.

— *Nie wiem, proszę pani* — odpowiada zakłopotany student. — *Sam nie próbowałem, bo [illegible] zupełnie zdrowy. Nie jest to wszystko jeszcze sprawdzone przez naukę, ale fakt pozostaje faktem, że pan Harris ma na swoim koncie tysiące potwierdzonych badaniami medycznymi uzdrowień, a wśród nich wiele graniczących z cudem.*

Wątpliwości ma wiele osób, słychać nawet tu i ówdzie prześmiechy i drwiny. Zazwyczaj jednak dosłuchać się w nich można wyraźnej nuty fałszu i obłudy. Ściągnęli tu i tacy, którzy wstydzą się, że trafili w ten — ciemny, ich zdaniem — tłum, a teraz ironią usiłują własny wstyd zatuszować. Atakując, bronią się przed ewentualnym pytaniem: — *Skoro uważasz, że to bzdura, to po diabła innym miejsce zabierasz?*

— *O, paradoksie!* — powie mi z tej okazji znajomy naukowiec. — *Zrodził się nam współczesny zabobon, u którego podłoża tkwi nadal ciemnota i niewiedza. O ile jednak przed wiekami niewiedza rodziła wiarę, o tyle dziś potrafi nieść nie mniej zacofaną.. niewiarę. Niech pan zapyta tych, którzy kpią z Harrisa, czy słyszeli coś o parapsychologii, o psychotronice? Opierają się oni w swoich sądach na wyniesionym ze szkoły paradygmacie, który kształtować się zaczął w dobie Oświecenia, a dziś wyraźnie już trąci myszką. Uważają się oni za ludzi nowoczesnych, racjonalistów, a są nie mniej ciemni, niż ich przodkowie ze swoją wiarą w cuda i siły nadprzyrodzone. Zdaniem tych kpiarzy to, co wymyka się spod niedoskonałych przecież narzędzi współczesnej nauki należy totalnie negować, udawać, że to coś nie istnieje. Jak można jednak ignorować fakt, że pod dotknięciem dłoni Harrisa zasklepiają się wrzody na dwunastnicy?*

— *Panie doktorze, czy mogę w reportażu powołać się na pana?* — pytam pospiesznie. — *Nie, absolutnie nie, żeby mnie koledzy zjedli?* — odpowiada nie mniej rychliwie mój interlokutor, dodając zaraz: — *Wie pan, ja tylko teoretyzuję, bo z Harrisem to nie taka żnów jednoznaczna sprawa, jak zresztą z tymi wszystkimi telepatiami, telegnozami czy telekinezami. Badania ciągle w powijakach...*

— *No i co?* — pyta zażywny jegomość swoją korpulentną żonę, z którą przysiadł na obmurówce, obiegającej figurę św. Antoniego. — *Nie wiem. Jakby lepiej!* — wzrusza ramionami pacjentka *Harrisa Clive'a*. Minę ma niewyraźną, dziobie od niechcenia kawałkiem chleba rybie dzwonka.

Pod św. Antonim koczuje już spora gromada klientów *H. Maliszewskiego*, który ze swej furgonetki sprzedaje smażonego mintaja i butelki z „Cytronetą". Wiele osób rozładowuje tu swoje emocje nad kawałkiem ryby, wsłuchując się z niepokojem we własne wnętrze: pomogło czy nie pomogło?

Nieporównanie bardziej podekscytowani są ci, którzy mają to jeszcze przed sobą.

Wejście w ten tajemniczy krąg umieścił *ojciec Maciej* daleko na zapleczu klasztoru. Wszyscy, którzy mogą iść o własnych siłach, a takich większość, maszerują wzdłuż klasztornych murów, prowadzeni kierunkowskazami i wskazówkami porządkowych. Sprawdzani są dwukrotnie na ścieżce, biegnącej skrajem zazielenionej już łąki. Po przejściu dwóch „bramek", strzeżonych przez zakonników i studentów, trafiają na rozległy placyk, gdzie stoją drewniane ławy, opatrzone szyldami: *„Głowa — head"*, *„Kręgosłup — spine"*, *„Kobiece — feminine"* tid. Według oznaczeń formują się specjalistyczne grupy, które wprowadzane są kolejno za klasztorny mur.

Pod murem ustawiony jest ołtarz, za którym teraz właśnie krótką mszę polową celebruje *o. Krzymowski*. Msza — ponawiana co jakiś czas — rozładować ma napięcie i wprowadzić zebranych w odpowiedni nastrój.

Po chwili *ojciec Maciej*, zdjąwszy liturgiczne szaty, w swoim czarnym habicie, z „gromkofonem" w dłoni, wprowadza do klasztornego ogrodu kolejną gromadę chorych. Przemierzają wytyczone trakty sprawnie, aby przez klasztorne podwórze dotrzeć do bocznego wejścia do kościoła, gdzie czekają już studenci i pielęgniarki. Pod murem dyżuruje również przez cały czas karetka pogotowia.

Opieka medyczna jest tu w ogóle liczna. W rozmównicy klasztornej zespół lekarzy przyjmuje pacjentów, kwalifikując ich do szeregu, chociaż nie mieli numerków. Akcja przebiega sprawnie, a *Harris Clive* wykazuje niespożytą energię, jest więc nadzieja, że przyjmie w zapianowanym czasie więcej chorych. Tak też się staje. Póki co jednak, na korytarzu, pod drzwiami rozmównicy, ścisk i tłok. Jedyne to zresztą miejsce, gdzie tłoczno i gwarno. Na szczęście, miejsce to całkiem na uboczu, dalekie od wielotysięcznego tłumu, który przewija się przez kościół w zupełnej ciszy i spokoju.

Wchodzimy do kościoła i my, odmienną jednak drogą. *Ojciec Maciej* prowadzi klasztornymi korytarzami. Zostawia nas na długo, wracając do pilniejszych obowiązków.

Instalujemy się w końcu na chórze. Jedyne to miejsce, skąd względnie dyskretnie spróbować można fotografowania. *Zbyszek* wziął ze sobą najmniej hałaśliwy sprzęt, a i tak każde szczęknięcie migawki odbija się mrowieniem na plecach. Tam, w dole, pewnie nic nie słychać, ale tu, kiedy aparat strzela pod bokiem... Strach pomyśleć: jeszcze kilka tysięcy ludzi, a tu *Clive* przerywa nagle seans. Gniew tłumu. Rozżalenie gospodarzy, którzy zaufali.

Użycie lampy błyskowej wykluczone. Fotoreporter nie żałuje taśmy, robiąc kadr po kadrze. Czułość błony trzeba ciągnąć do granic ryzyka, czas naświetlania długi jednak, bo i oświetlenie fatalne. Trudno o zdjęcie ostre, nie poruszone. Do tego o statywie, o podpórce nawet nie ma mowy, bo trzeba dyskretanie, cichaczem. Tyle osób w górę spogląda, oby sam *Clive* nie spojrzał.

A on pracuje w skupieniu. Stoi u boku nawy, po której wije się zdyscyplinowany sznur pacjentów. Zawija się szereg wzdłuż głównego ołtarza, żeby podpłynąć pod czujne dłonie *Harrisa Clive'a*. Poprzedza go rosła dziewczyna w dżinsach, odbierająca błyskawicznie numerki od kolejnych chorych. Asystentka dobrana przez niego samego spośród kilku łódzkich studentek filologii angielskiej. Dobrana tak, aby swą aparycją i głosem nie rozpraszała.

Dziewczyna komunikuje po angielsku: — *Kręgosłup!... Wątroba.. Dwunastnica!.. Głowa!... Głowa!... Brzuch!...*

Dłonie *Harrisa* — dłonie pianisty... Nie, prędzej tancerza. Dłonie łagodnym, krótkim gestem dotykają schorzałych narządów. Pewnie i szybko. Bardzo szybko. Następny, następny, następny. Głaśnięcie, muśnięcie, otarcie. Głowa, brzuch, kręgosłup.

Następny, następna, następne. Tempo zawrotne. Tyle osób czeka jeszcze na ten gest. Gest uzdrawiający. Tak — uzdrawiający. *Harris* wierzy w to niezłomnie. Wierzy w swoją moc. Wierzy, kto wie, może bardziej, niż ci, co tak tłumnie garną się do jego rąk. Uważa, że musi tak — niestrudzenie, niezmordowanie. Tysiąc po tysiącu. Muśnięcie po muśnięciu. Kocha ludzi. Chce im przekazać to, co ma niezwykłego, co im się należy. Tak twierdzi. Wie też, że się w swej misji spala powoli. Przyznaje to, lecz inaczej nie potrafi. I ta jego wiara w nadzwyczajne możliwości własnego organizmu fascynuje chyba najbardziej. Udziela się też tym tysiącom, które widzą w nim nadzieję, dla siebie, dla najbliższych.

Następny, następny, następny. I spokojny, mechaniczny już nieco głos asystentki: — *Head! — Head! — Spine! — Duodena! — Chest! — Stomach!* — I czasem tylko przedłuży swój gest: kiedy podniosą ku jego dłoniom dziecko.

Fenomen imieniem *Harris* odprawia swoje tajemnicze misterium. Szczupły i zwinny. W szarych spodniach i kraciastej koszuli. Krótko przystrzyżone, lekko już posiwiałe włosy. Śniada cera. Uśmiech na twarzy i pogoda w oczach. Ot, z pozoru, zwykły, młody jeszcze człowiek. Niezwykły jednak, gdyż swoje życie postanowił oddać innym, pielgrzymując po całym świecie.

I boi się tylko tego, aby nie postradał nadzwyczajnej mocy, w której uzdrowicielskie działanie wierzy tak usilnie.

— *Coś w tym musi być!* — stwierdzają nawet sceptycy, zapoznawszy się z wynikami eksperymentów, jakie prowadzono z *Harrisem*, którego organizm po raz pierwszy ujawnił swoje niezwykłe właściwości przed laty, kiedy on sam był ciężko chory i leżał w szpitalu.

Przeciwnicy jednak nazywają go współczesnym *Messmerem*, wytykając „technikę" podobną do tej, którą stosował tamten, odsądzony od czci i wiary szarlatan. Przecież *Clive* — powiadają — stosuje osławione *passy* (spolszczone na *głaski*), którymi *Messmer* przekazywał jakoby *magnetyczne fluidy*. Dodają jeszcze, że messmerowska teoria *magnetyzmu zwierzęcego* została doszczętnie skompromitowana.

Harrisem interesują się jednak na serio niektórzy naukowcy, skłonni zaliczyć go do takich fenomenów, jak *Eusapia Palladino, Maria Beraud, Rudolf Schneider, Hubert Pearce, Ninel Kulagina, Ted Serios* czy wreszcie *Uri Geller*. Wprawdzie *Clive* — jako uzdrawiacz — wyłamuje się nieco z tego szeregu, tak czy inaczej jego związki ze zjawiskami parapsychicznymi są niewątpliwe.

Zjawiska te zresztą — badane od lat przez naukowców amerykańskich i radzieckich — do tej pory nie znalazły prawa obywatelstwa w polskiej nauce. Pewnym przełomem był słynny praski Kongres Psychotroniki w 1973 roku, który ośmielił nieco i naszych naukowców, a także umożliwił częściową popularyzację dorobku prof. *Stefana Manczarskiego* — pioniera polskiej parapsychologii. O nastawieniu do tej, nie tak przecież nowej, dyscypliny wiedzy świadczy chociażby fakt, że do tej pory *„Moje jasnowidzenie świata"* naszego słynnego *Klimuszki* nie doczekało się wydania książkowego, zaś „Literatura" zdrowo oberwała za druk fragmentów tej pracy.

Tymczasem zaś — jeśli założyć, że faktycznie organizm *Harrisa Clive'a* ma niezwykłe cechy — próbę ich wyjaśnienia można by podjąć arcynaukowym sposobem, sięgając chociażby do koncepcji naukowej prof. *Włodzimierza Sedlaka*, według której życie ma cechy elektromagnetyczne, zaś elementarnym pratworzywem istot żywych jest dynamiczna bioplazma. *Clive* zatem — jako sedlakowski *homo electronicus* — pozostałby nadal fenomenem, dalekim jednak od jakiejkolwiek *nadprzyrodzoności*, bo mieszczącym się w kategoriach stricte naukowych.

Cóż jednak mówić o *Harrisie*, skoro sam profesor *Sedlak* walczyć musi o uznanie swoich koncepcji...

— *Co pan sądzi o całej tej sprawie?* — zapyta następnego dnia *ojciec Maciej*, kiedy przechadzać się będziemy ścieżkami ogrodu, którego rabaty wcale nie ucierpiały od tysięcy stóp. — *Nie wiem* — odpowiem, bo rzeczywiście nie wiem. — *Stanowczo za mało wiemy, aby negować bądź akceptować bez reszty. — I ja tak sądzę* — przytaknie *o. Maciej*. — *Mam teraz jednak wiele szacunku i podziwu dla tego człowieka, jego pasji i wiary, dla wytrwałości, z jaką chce czynić innym ludziom dobro!*

Właśnie, *ojciec Maciej*, żegnając Kandyjczyka, dziękował mu za dzień dobroci, jaką wyświadczył tysiącom ludzi, potrzebującym pomocy i nadziei.

Teraz jednak seans jeszcze trwa. Następny, następna, następne. *Harris Clive* pracuje w skupieniu. Przesuwają się przed nim kolejne tysiące, których kroki — wytłumione miękkimi chodnikami — przemieniają się w ciche szuranie. W pięknym barokowym wnętrzu dyskretnie oświetlonego kościoła szuranie to miesza się z przytłumionymi dźwiękami muzyki. Specjalnie dobrane tło: magnetofon odtwarza właśnie ścieżkę dźwiękową ze słynnego przed paroma laty filmu *„Jezus Christ Superstar"*, według rock-opery *Andrewa Webbera* i *Tima Rice'a*.

— *Pracowałem już w różnych warunkach* — powie później *Clive* — *nawet na brudnych i zatłoczonych korytarzach. Tutaj jednak we wspaniałym wnętrzu tego kościoła, w niepowtarzalnej atmosferze, wobec wyjątkowo udanej organizacji, czułem się doprawdy wspaniale. Mimo dziesięciu godzin, mimo dziesięciu tysięcy chorych nie odczuwałem zmęczenia.*

A przed samym odjazdem — żegnany kwiatami i zbiorowym *Sto lat* młodzieży — wsiadając do samochodu obiecuje:

— *Uczynię wszystko, aby znów przyjechać do was. Postaram się wrócić tutaj jesienią, bo wiem, że mnie potrzebujecie.*

JACEK INDELAK

W INTENCJI OBRONY PRAW MEGO KRAJU

HENRYK NAKIELSKI

GRA O PRAWORZĄDNOŚĆ

Zawał serca i trwająca następnie rekonwalescencja wyłączają Profesora na wiele tygodni z aktywnego życia.

W dniu 11 lipca, po jedenastu latach walki o rehabilitację, Sąd Najwyższy uwalnia wreszcie doc. *Hankus* od winy zniesławienia i obrazy dr *Petrysa*. Stwierdza, że zarzuty przez nią postawione się potwierdziły, że działała w interesie społecznym i w ramach dozwolonych prawem krytyki naukowej. Otrzymuje więc satysfakcję moralną. Gorzka to jednak satysfakcja.

Tymczasem toczy się dalej sprawa przeciwko *Tiborowi Petrysowi* o znieważenie naczelnego organu władzy państwowej — Rady Państwa w osobie prof. *Groszkowskiego*. W tej sprawie jednak tylko formalnie oskarżonym jest *Petrys*. Jej przebieg w ciągu 10 miesięcy 1975 r. przedstawia Profesor w streszczeniu w swoim piśmie do Prokuratora Generalnego z dnia 13 listopada.

„Ponieważ jednym z głównych zarzutów — pisze Profesor — jakie mi Petrys postawił w swojej skardze, było działanie na szkodę interesów PRL, przeto w dniu 15.I.1975 r. skierowałem do Przewodniczącego Rady Państwa pismo z prośbą o wyciągnięcie — w związku z listem Petrysa — konsekwencji w stosunku do mnie, jeśli postawione mi zarzuty są uważane za uzasadnione, bądź pociągnięcie do odpowiedzialności Petrysa za zniesławienie mnie.

Ze względu na to, że okres 3-miesięczny przewidziany prawnie dla przedawnienia mego zniesławienia przez Petrysa mijał w dniu 17.IV., nie mając żadnej wiadomości o jakiejkolwiek akcji z urzędu podjętej w mojej obronie, zmuszony byłem wnieść do Sądu Powiatowego w Warszawie w dniu. 5.IV.1975 r. prywatne oskarżenie przeciwko Petrysowi. Sąd Powiatowy decyzją z dnia 11.IV. bez mojej wiedzy i zgody, i bez zarejestrowania, przesłał moje oskarżenie do Prokuratury Powiatowej Warszawa-Śródmieście. Takie postępowanie uważałem za odmowę przyjęcia mego aktu oskarżenia i przeto w dniu 18.IV. wystąpiłem z zażaleniem o uchylenie tej decyzji. (...) Zażalenie moje również zostało przesłane do tej prokuratury, która zresztą — przy piśmie z dnia 6 maja — zwróciła materiały Sądowi Powiatowemu, gdyż nie znalazła podstaw do objęcia oskarżenia w niniejszej sprawie.

W dniu 19 kwietnia otrzymałem od ob. Prokuratora Generalnego pismo (z datą 17.IV.1975 r. — bez numeru dziennika), z którego — oraz dołączonej do niego notatki — dowiedziałem się, że w dniu 16 lutego, między innymi, zostało wszczęte śledztwo przeciwko T. Petrysowi (...), że zostało ono przeprowadzone i zakończone. W piśmie tym podano również, że skierowanie aktu oskarżenia do sądu zostało wstrzymane do czasu rozstrzygnięcia przez Sąd Najwyższy rewizji nadzwyczajnej w sprawie Aleksandry Hankus (...)

Wiedząc z dotychczasowego doświadczenia, że doprowadzenie do procesu rehabilitacyjnego w Sądzie Najwyższym może trwać bardzo długo, w dniu 10 czerwca wystąpiłem do Sądu Powiatowego o wyznaczenie w mojej sprawie przeciwko Petrysowi rozprawy na ostatnią dekadę czerwca 1975 r. Rozprawa została wyznaczona na dzień 12 lipca, lecz pismem z dnia 10 lipca zostałem zawiadomiony o zdjęciu sprawy z wokandy. (...)

Tymczasem w dniu 2 sierpnia otrzymałem od ob. Prokuratora Generalnego pismo, że prowadzone przeciwko T. Petrysowi postępowanie przygotowawcze jest w pełnym toku i aktualnie podjęto kroki do jego zakończenia w terminie do końca 1975 roku. Pismo to, a zwłaszcza następne pismo z dnia 11 września stwierdzające, że: śledztwo przeciwko Petrysowi nie zostało zakończone w terminie dotychczas zakreślonym, ponieważ Petrys do 26 sierpnia przebywał poza granicami PRL, stały się dla mnie powodem wielkiego zaskoczenia, gdyż były w jawnej sprzeczności z pismem z dnia 19 kwietnia, które stwierdzało, że śledztwo zostało już wówczas zakończone.

Tak więc, gdy piszę niniejsze pismo, w pierwszej połowie listopada 1975 roku, mogę stwierdzić, że od otrzymania obraźliwego listu Petrysa upłynęło 10 miesięcy, od wszczęcia śledztwa — 9 miesięcy, od wniesienia przeze mnie oskarżenia do Sądu Powiatowego — 6 miesięcy, od wyroku Sądu Najwyższego rehabilitującego doc. Hankus — 4 miesiące.

W okresie tych 10 miesięcy (...) Petrys był autorem wielu dalszych listów, lub oświadczeń podtrzymujących lub pogłębiających w sposób dalej kłamliwy obraźliwe sformułowania nie tylko w stosunku do mnie, ale i innych osób, które przeciwstawiały się jego niecnemu postępowaniu. (...) Powstrzymuję się od sformułowania wniosku, jaki należałoby na podstawie przytoczonych faktów wyciągnąć".

W dniu 15 grudnia Profesor pisze list do Prezydium Sejmu, w którym przedstawia szczegółowo sprawę Petrysa i postępowanie organów sprawiedliwości w tej mierze.

„Dla pełniejszego scharakteryzowania istniejących stosunków powinienem poinformować — pisze — że na moje pismo w omawianych sprawach, skierowane do Prokuratora Generalnego w dniu 13 listopada, do dnia dzisiejszego nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. (...) Ponieważ wyczerpałem wszystkie dostępne mi środki, wykazałem ogrom cierpliwości, przypłaciłem zdrowiem wiele porażek, a niereagowanie na moje ostatnie pismo do Prokuratora Generalnego uważam za lekceważenie — w pewnym stopniu — autorytetu Rady Państwa PRL, niniejszym składam rezygnację ze stanowiska członka Rady Państwa, a tym samym z jej z-cy przewodniczącego i proszę Prezydium Sejmu o nadanie właściwego biegu mojej rezygnacji".

Przed złożeniem tego pisma w Prezydium Sejmu Profesor informuje o powziętej decyzji, w rozmowie telefonicznej, wicemarszałka Sejmu, prof. *Andrzeja Werblana*. Dalszy ciąg wydarzeń przedstawiony jest w piśmie do prof. Werblana z dnia 22 grudnia.

„...przygotowałem pismo do Prezydium Sejmu, które pierwotnie zamierzałem przesłać w dniu 17 grudnia. W ostatniej jednak chwili, mając na uwadze posiedzenie Sejmu w dniach 18 i 19 grudnia — aby nie stwarzać — w pewnym stopniu — zaskoczenia, zdecydowałem się przesłać je po posiedzeniu w dniu 20 grudnia. W dniu 17 grudnia odbyła się rozmowa telefoniczna z Obywatelem Marszałkiem. (...) W dniu 18 grudnia rano zawiadomiono mnie, że nadeszło pismo od Prokuratora Generalnego z datą 17.XII., w którym komunikuje o zakończeniu postępowania przygotowawczego i zamiarze skierowania w najbliższych dniach aktu oskarżenia przeciw Petrysowi do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. (...)

Jestem bardzo zobowiązany Obywatelowi Marszałkowi za zadziałanie, wynikiem czego nastąpiła wprost błyskawiczna reakcja ze strony prokuratury. Rodzą się jednak we mnie obawy, że moje działania w interesie praworządności, zamiast być uważane za godne uznania współdziałanie z obowiązkami organów sprawiedliwości spotykały się i chyba nadal spotykają z oporami tak, jak gdybym to ja był przestępcą, a osobnik, przeciwko któremu występuję jest ofiarą wymagającą obrony ze strony organów wymiaru sprawiedliwości (...)".

Interwencje odnoszą jednak skutek. Przewodniczący Rady Państwa, prof. *Henryk Jabłoński*, zawiadamia Profesora w liście z dnia 30 grudnia:

„...informuję Obywatela Profesora, że Prokurator Generalny zawiadomił mnie pisemnie, iż został wniesiony do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie akt oskarżenia przeciwko Tiborowi Petrysowi, oskarżonemu o znieważenie Zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa — prof. dr Janusza Groszkowskiego".

W dniu 23 stycznia Profesor pisze do I sekretarza KC PZPR:

„...wobec nieoczyszczenia mnie dotychczas z ciężkich zarzutów oraz wobec niezgodnych z prawem zabiegów, utrudniających mi obronę mojego dobrego imienia, składam na ręce Obywatela I Sekretarza rezygnację z funkcji Przewodniczącego OK FJN. (...) Występując z tym protestem pragnę podkreślić, że nie chodzi mi w tej chwili o taki czy inny wyrok na Petrysa, gdyż tym zajmie się sąd, a jedynie o zgodne z prawem prowadzenie procesu i dopuszczenie obciążających przestępcę dowodów. Jestem bowiem zainteresowany w tym, aby przeprowadzony publicznie i zgodnie z prawem proces wykazał, że zostałem zniesławiony niezgodnymi z prawdą zarzutami i że moje postępowanie jako posła i członka Rady Państwa było zawsze słuszne i uczciwe. Od tego żądania nie mogę odstąpić".

Skutek tego protestu był widać niewielki, skoro w dwa tygodnie później, 18 lutego 1976 r., Profesor składa na ręce Marszałka Sejmu legitymację poselską i dekret nominacyjne. W załączonym memoriale pisze:

„W intencji obrony praw mego kraju oraz protestując przeciw prześladowaniom za wystąpienia z usprawiedliwionymi interwencjami poselskimi, zrzekam się mandatu posła na Sejm z Okręgu Wyborczego nr 1 w Warszawie, i w konsekwencji — funkcji członka i zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przyczyny tej decyzji są następujące:

Dnia 5 stycznia 1975 roku do Premiera, Marszałka Sejmu, Prokuratora Generalnego i innych osobistości rozesłane zostało przez Tibora Petrysa pismo zarzucające mi przy użyciu obraźliwych wyrazów, że uczestniczyłem w akcjach szkalowania ustroju i naczelnych organów PRL w kraju i poza granicami Państwa Polskiego, że współpracowałem w tej akcji z wrogimi Polsce ośrodkami dywersji ideologicznej i politycznej, i że dokonywałem innych przestępczych działań na szkodę interesów PRL.

Obcokrajowiec Tibor Petrys, milioner, jest ukaranym przez Sąd PRL, i wydalonym z partii oszustem, prowadzącym w Polsce zakrojoną na szeroką skalę działalność przestępczą. Osobnik ten zorganizował coś w rodzaj gangu, zajmującego się przerzutem chemikaliów, elektrycznych maszyn do liczenia i — jak twierdzi IKR — dewiz poprzez granicę Polski i Austrii bez uiszczania należnych opłat celnych, za co został skazany prawomocnym wyrokiem sądowym.

Pracując na Politechnice Krakowskiej przywłaszczał sobie wyniki zespołowej pracy naukowej dla wyłudzenia stopnia docenta — unieważnionego potem przez Ministra Szkolnictwa Wyższego. Charakterystycznymi cechami Petrysa było posługiwanie się nienależnymi mu tytułami, wyłudzanie i przedkładanie różnym instytucjom fałszywych zaświadczeń i opinii, składanie fałszywych oświadczeń i zeznań oraz brutalne i bezczelne atakowanie tych wszystkich osób lub instytucji, które przeciwstawiały się jego przestępczej działalności. Pełną listę przestępstw Petrysa obejmującą około 20 pozycji przedstawiłem Radzie Państwa. O rozmiarach szkodliwej działalności Petrysa świadczy fakt wystąpienia przez Najwyższą Izbę Kontroli z wnioskiem o wysiedlenie Petrysa z Polski jako uciążliwego cudzoziemca prowadzącego pasożytniczy tryb życia. Oto portret przestępcy, który mnie znieważył, widziany w świetle dokumentów urzędowych.

Jedną z pierwszy ofiar działalności Petrysa była doc. dr hab. Aleksandra Hankus, która — za złożenie skargi do Rady Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej przeciw przywłaszczeniu pracy w celu wyłudzenia stopnia docenta — skazana została w 1965 roku przez Sądy PRL z oskarżenia Petrysa na karę 11 miesięcy bezwzględnego aresztu, 5 tys. zł grzywny i ogłoszenie wyroku w prasie. Ponieważ sprawa dotyczyła środowiska naukowego, zainteresowałem się nią wówczas jako prezes PAN, i po przekonaniu się na podstawie gruntownie zbadanych materiałów o winie Petrysa, wystąpiłem — po wyborze na posła — z interwencjami poselskimi na rzecz ponownego zbadania procesu.

Po 11 latach walki, w toku której — dla złamania oporu pokrzywdzonej — organa wymiaru sprawiedliwości w bezprzykładny sposób ją szykanowały i prześladowały posuwając się nawet do prób poddania dziekana polskiej wyższej uczelni badaniom psychiatrycznym Sąd Najwyższy, wyrokiem z dnia 12 lipca 1975 r. całkowicie ją zrehabilitował i uniewinnił. Orzekł, że doc. Hankus udowodniła Petrysowi przywłaszczenie pracy naukowej i próbę wyłudzenia stopnia docenta oraz, że jego postępowanie było obroną uzasadnionego interesu publicznego. Jasne więc jest, że interwencja poselska i działanie na rzecz niesłusznie skazanej było całkowicie usprawiedliwione, a paszkwil Petrysa na mnie był odwetem za występowanie w obronie interesu publicznego.

Kiedy jedne instancje wymierzały Petrysowi wielesettysięczne grzywny i domiary, unieważniały przywłaszczoną pracę i wyłudzony stopień, skazywały za oszustwa podatkowe i postulowały wysiedlenie z Polski, pewni funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości osłaniali go, umożliwiając kontynuację przestępczej działalności. Miałem się o tym przekonać, gdy Przewodniczący Rady Państwa polecił Prokuraturze Generalnej ściganie oszczercy i gdy — wobec ociągania się prokuratury — byłem zmuszony do złożenia prywatnego aktu oskarżenia o zniesławienie.

Prokuratura Generalna przez rok zwlekała z wniesieniem aktu oskarżenia, uchylając się od ustalenia obciążających oskarżonego faktów. W złożonym akcie oskarżenia o znieważę w mojej osobie —Rady Państwa, Prokuratura Generalna nie ujawniła — poza wyrokiem za oszustwa podatkowe — praktycznie biorąc żadnego z obciążających Petrysa faktów i dowodów: wniosku Najwyższej Izby Kontroli zawierającego dokumentację przestępstw Petrysa i postulującego wysiedlenie go z Polski, kilkakrotnego posłużenia się fałszywą opinią, złożenia fałszywych zeznań, dwukrotnego znieważenia ministra NSWiT jak również dalszego, wielokrotnego znieważenia mojej osoby.

Dnia 6 stycznia 1976 roku, po 8 miesiącach walki ze mną o zarejestrowanie sprawy z mego oskarżenia, o nadanie jej sygnatury, o dopuszczenie obciążających oszusta dowodów i o przeprowadzenie rozprawy, Sąd Rejonowy w Warszawie sprawę moją umorzył i obciążył mnie kosztami procesu przestępcy, który mnie zniesławił (...).

Nie trzeba być prawnikiem, aby w tych nadużyciach dostrzec wyjątkowo rażące naruszenie porządku prawnego. Dlatego też, gdy Sąd Wojewódzki uchylił się od dopuszczenia obciążających Petrysa dowodów i zarządził na wniosek prokuratora tajność rozprawy pod pretekstem ochrony autorytetu Rady Państwa, a Petrys tę decyzję poparł, musiałem potraktować to utajnienie procesu jako chęć ukrycia popełnionych nadużyć przed opinią publiczną i zamiar utrudnienia mi obrony przed atakami notorycznego przestępcy.

W całej sprawie postępowałem z cierpliwością i rozwagą. Jako obywatel Polski Ludowej i jej poseł jestem zobowiązany do przeciwstawiania się nadużyciom wszelkimi środkami, jakie stoją do mojej dyspozycji i dlatego — po wyczerpaniu wszelkich dostępnych mi możliwości protestu i po poinformowaniu najwyższych władz politycznych i państwowych o omawianych wyżej nadużyciach, rezygnuję z mandatu poselskiego i funkcji członka Rady Państwa. Czynię to, aby moi wyborcy i społeczeństwo, na których opinii mi szczególnie zależy, dowiedzieli się, że nie zgadzam się z popełnionymi nadużyciami i że wyczerpałem wszelkie możliwości przeciwdziałania złu.

Powyższy protest i złożona wcześniej rezygnacja z funkcji przewodniczącego OK FJN nie mają żadnych akcentów politycznych (...) w mej rezygnacji z mandatu poselskiego trzeba widzieć jedynie protest przeciw naruszaniu konstytucyjnych gwarancji praworządności.

Z bólem i goryczą piszę te słowa i rezygnuję z mandatu poselskiego. Mnie napaść stwierdzonego sądownie przestępcy i wydalonego z partii oszusta ujmy i tak nie przyniesie. Moje nazwisko nie potrzebuje ochrony sądowej. Ochrony natomiast potrzebuje dobre imię polskiego wymiaru sprawiedliwości, narażonego na szwank bezprzykładnym postępowaniem nieodpowiedzialnych sędziów i prokuratorów, łamaniem i naginaniem prawa, prześladowaniem uczciwych ludzi za przeciwstawienie się panoszącemu złu. Tylko dlatego uważam za swój obywatelski obowiązek doprowadzenie procesów przeciw Petrysowi do sprawiedliwego zakończenia i tylko dlatego zdecydowałem się na tego rodzaju protest.

Dla uniknięcia niewłaściwych komentarzy proszę Obywatela Marszałka o zaznajomienie Obywatelów Posłów z treścią mego pisma przed lub na posiedzeniu Sejmu i podanie mojej rezygnacji do wiadomości środków masowego przekazu".

Odejście Profesora z Sejmu i Rady Państwa odbywa się jednak zgodnie z uświęconym zwyczajem. Marszałek Sejmu zawiadamia o tym Profesora w piśmie z dnia 23 lutego 1976 r.

„...w odpowiedzi na ostatni list uprzejmie informuję, że w najbliższym czasie odbędzie się proces ob. Petrysa. Wówczas ukaże się komunikat prasowy informujący o sprawie oskarżenia ob. Petrysa o zniesławienie Wiceprzewodniczącego Rady Państwa, Ob. Profesora i o wyroku obwinionego. Myślę, że w ten sposób zrealizowany zostanie główny wniosek Ob. Profesora. Wcześniejsze wydanie komunikatu sądzę, że byłoby niewłaściwe, mogłoby bowiem wywołać różnorodne komentarze w kraju i za granicą — źle służące stosunkom politycznym".

„Ciche odejście" wywołuje jednak *głośne komentarze w kraju i za granicą.*

Tymczasem *„sprawa Petrysa"* zbliża się powoli do zakończenia. O ostatnich, w związku z tą sprawą potyczkach pisze Profesor w piśmie do tzw. *„Komisji Rady Państwa ds. memoriału J. Groszkowskiego"* z dnia 2 marca 1976 r.

„W związku z uporczywym niedopuszczeniem obciążających oskarżonego Petrysa dowodów zmuszony zostałem do złożenia wniosków o wyłączeniu sędziów i prokuratorów od udziału w postępowaniu. Jestem bowiem zdania, że tacy prawnicy stwarzają uzasadnioną wątpliwość co do ich bezstronności. (...) Chciałbym zwrócić uwagę, że znajduję się w posiadaniu pisma Prokuratora Generalnego z dnia 24 stycznia 1976 r. z 27 stycznia zawierających informację, że nakazał dopuszczenie dowodów oskarżającemu prokuratorowi, który polecenia tego nie wykonał. Stwarza to we mnie wątpliwość, kto tu właściwie wprowadza mnie w błąd: czy Prokurator Generalny w kierowanych do mnie pismach, czy jego przedstawiciel w sądzie?"

Trzynastego marca 1976 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie skazuje Tibora Petrysa za znieważenie naczelnego organu władzy państwowej — Rady Państwa w osobie prof. Groszkowskiego oraz za posłużenie się fałszywymi dokumentami i biorąc pod uwagę, że był już poprzednio karany, na dwa i pół roku więzienia oraz zasądza się od niego na rzecz Profesora 1 złoty tytułem zadośćuczynienia za krzywdę moralną. W dniu 23 czerwca 1976 r. Sąd Najwyższy zmniejsza w/w karę do jednego roku więzienia. Petrys odsiaduje pół roku.

(c.d.n.)

LEWYM OKIEM

Wszystkim ludziom w kraju wiadomo od dawna, że istnieje kilka wielkich a ważnych społecznie instytucji, które żeby nie wiem co o nich powiedzieć, po prostu nie reagują i robią swoje dalej, a raczej właśnie nie robią lub skandalicznie źle robią to, co do nich należy. Lista tych instytucji ciśnie się od razu pod pióro: koleje, poczta, telefony, tramwaje, autobusy.

Wyliczyłem pięć pozycji i już widać, że wszystkie one z jednej parafii, której na imię: łączność i komunikacja. Łączność i komunikacja od paru dziesiątków lat działają poniżej wszelkiej krytyki, tkwiąc mimo to dumnie na pozycjach wyższych ponad wszelką krytykę. Działają też coraz gorzej i nie widać końca tego spadania.

Dlatego ucieszył mnie pierwszy promyk nikłej nadziei. Oto powstałe niedawno w Łodzi Zrzeszenie Konsumentów zaczęło swą donkiszotowską, trudną, ciężką pracę właśnie od sprawy łódzkiej komunikacji miejskiej. Może głos Zrzeszenia, opublikowany w „Dzienniku Łódzkim", zostanie gdzieś dosłyszany. Może zajmie się sprawą ktoś mocny, może nazwie ją słowem-hasłem, słowem-ostrogą: „postulat"?

Były już postulaty robotnic, włączane do wielonocnych negocjacji, a dotyczące estetycznych chustek na głowę i ładniejszych fartuszków. Nie wiem, dlaczego nikt nigdzie nie zażądał zapewnienia dojazdu do ciężkiej pracy i powrotu z pracy do domu w znośnych, ludzkich (a nie bydlęcych, chociaż w przewozie bydła obowiązują jakieś normy) warunkach.

Jechałem wczoraj tramwajem „24". Okropność! Metalowy drążek wzdłuż wagonu wyrwany i nie ma się czego chwycić. Jak nie ma drążka, to nie ma też uchwytów. Szyby brudne straszliwie, przez tylną w ogóle świata bożego nie widać. Kasowniki do biletów pourywane, został tylko jeden jedyny w samym środku wagonu, żeby było najdalej. Wóz szarpie i rzuca ludźmi od ściany do ściany, drzwi się ani zamykają, ani otwierają.

Jechałem przed miesiącem pociągiem z Krakowa. Ubikacja zabita gwoździami na głucho. Okno w przedziale się nie domyka. Światło nie świeci. Śmietniczka nabita świństwami wpychanymi na siłę chyba

JESZCZE RAZ DZIAD DO OBRAZU

od tygodni. Wagon był pierwszej klasy...

Co tu na litość boską mówić o braku dewiz i o załamaniu wydobycia węgla? Tu można tylko załamać ręce nad absolutną niechęcią do pracy, niechlujstwem, arogancją — choć tym razem nie jest to arogancja władzy.

O kontredansie z doręczaniem i nie doręczaniem prasy napisano już bardzo wiele — i spokój. Czyj spokój? Przecież to już paranoja: prenumeratorzy w miastach sami jeżdżą po prasę na pocztę, a poczta nadal twierdzi, że nie będzie przyjmować na przyszłość abonentów, bo nie ma kto doręczać. Przecież nikt nie doręcza! O co właściwie chodziło mądralom, którzy zlikwidowali teczki w kioskach? Co i komu miało się od tego poprawić? Teraz — jak nas jest w domu czworo — rozchodząc się rano do pracy mówimy sobie wzajemnie: kup prasę, jak zobaczysz. No i mamy później cztery „Głosy", cztery „Dzienniki" i cztery „Expressy", albo nie mamy w ogóle nic.

Co dzień czytam o konieczności zwalniania z pracy setek tysięcy ludzi, bo nie mają co robić. Jednocześnie czytam, że nie ma kto doręczać poczty (hałdy paczek żywnościowych leżą w magazynach i gniją — zbrodnia!), od paru miesięcy mój telefon nie działa, bo nie ma kto naprawić kabla, a nad morzem nie ma kto wyładować śledzi z kutrów, bo akurat złowiło się więcej niż przewidywano. Obywatele, za dużo łapie się śledzi! Katastrofa! nie ma ich kto rozładować, i nie ma ich w co zapakować: nie ma skrzynek. Nie ma i nie będzie. Przestańcie wreszcie łowić te śledzie, zwłaszcza że pewnie znów okaże się, ile to tysięcy dopłacamy do każdego zjedzonego dzwonka...

Podobno dopłacamy też dwanaście tysięcy złotych miesięcznie do każdego myśliwego. Nie wiem, jak „Życie Gospodarcze" to wyliczyło, zresztą powołuje się ono z kolei na artykuł w „Sztandarze Ludu". Jak się te 12 tysięcy przemnoży przez liczbę myśliwych, to musi się okazać, że i ja także parę groszy co miesiąc dopłacam do ich sarmackiej zabawy. A ja nie chcę! Wolałbym tych parę groszy przeznaczyć na skrzynki do śledzi i na ścierki dla kogoś w „aparacie" komunikacji, niech wreszcie umyją szyby!

ĆWIEK

CZY W CHORZOWIE ZDARZY SIĘ CUD?

Chodzi oczywiście o cud na Stadionie Śląskim, który do tej pory bywał dla nas szczęśliwy. Ja w ten cud nie wierzę i nie wierzę w magiczną moc Stadionu Śląskiego. Żeby wygrać mecz z drużyną NRD trzeba do tego meczu być dobrze przygotowanym. Tadeusz Olszański gratulując w „Szpilkach" (nr 15 z 12 kwietnia 1981 roku) Antoniemu Piechniczkowi debiutu w meczu z Rumunią nie bez ironii napisał: „każdy następny występ może być tylko lepszy!". W „Szpilkach" można sobie żartować, ale na kilkanaście dni przed meczem z NRD i po ostatniej kolejce ligowej nie ma już się z czego śmiać.

Gdyby tę kolejkę ocenić pod względem ilości strzelonych bramek, to wypadłaby nie najgorzej. Strzelono bowiem 21 goli. Cóż z tego, kiedy poziom spotkań był powszechnie krytykowany. Poza meczem Legii z Szombierkami. Ale, żeby było jeszcze dziwniej, gratulacje po tym meczu odbierał Hubert Kostka, trener drużyny, która przegrała z Legią 1:2. Gratulowano mu stworzenia ambitnego, dobrze grającego zespołu. Trener drużyny zwycięskiej, Ignacy Ordon mógł się tylko poskarżyć, że ma wprawdzie plan pracy z pierwszym zespołem, ale nie ma warunków do jego realizacji, bo ciągle kogoś brakuje.

— Mam pytanie — powiedział reporterowi „Sztandaru Młodych" — czy to ja powinienem szkolić dla kadry, czy kadra dla mnie. Wolałbym ten pierwszy wariant.

Na ogół nikt nie był zadowolony z gry kadrowiczów. Na stadionie Wojska Polskiego w Warszawie przyglądał się grze były trener reprezentacji, Ryszard Kulesza, który jak wiadomo wyjeżdża do pracy trenerskiej w Tunezji. Reporter tegoż „Sztandaru Młodych" nie omieszkał zapytać Ryszarda Kuleszę o jego opinię na temat gry kadrowiczów.

— Trudna sprawa — powiedział R. Kulesza — Na podstawie tego meczu wybór byłby trudny i ograniczony. Nie wiem, na czym to polega, bo przecież dosyć długo nie mam kontaktu z kadrowiczami, ale ci, którzy są w kadrze sprawiają wrażenie zmęczonych.

Takie wrażenie odnieśli też inni obserwatorzy. Czy zmęczona reprezentacja może podołać dobrze przygotowanej drużynie NRD? Mam co do tego wątpliwości.

Kadrowicze wyjechali do Kamienia koło Rybnika, aby tam przygotować się do meczu w Chorzowie. Czy kilkanaście dni wystarczy, aby nadrobić braki, aby zgrać zespół? Naszą drużynę reprezentacyjną budowano długo i w końcu nie zbudowano. Pisałam już kilkakrotnie, że nie mamy dobrze przygotowanej reprezentacji. Proponowałam nawet, aby dać sobie z tym wszystkim spokój i mając na uwadze ogólne trudności, jakie przeżywa kraj, wycofać się z honorem z eliminacji do mistrzostw świata. To była bardzo poważna propozycja, ale widać potraktowano ją jak kiepski żart. Żartujmy więc dalej.

Żartować natomiast przestaje Marian Geszke, który po meczu ŁKS w Chorzowie zapowiedział zmiany w składzie łódzkiej drużyny.

— Nie mogę dalej im ufać — powiedział reporterowi „Expressu Ilustrowanego" — moja cierpliwość już się skończyła...

Cierpliwość kibiców ŁKS skończyła się już dawno. Kiedy skończy się cierpliwość kibiców Widzewa? Drużyna ta miała szanse na od dawna oczekiwany tytuł mistrza Polski. Chyba to nie tylko brak Zbigniewa Bońka decyduje ostatnio o słabej grze lidera. Zespół Widzewa już nie raz stawał do walki z silnym przeciwnikiem bez tego znakomitego piłkarza i jakoś sobie radził. Teraz przyczyny kryzysu są głębsze. Specjaliści i obserwatorzy mówią o słabym przygotowaniu drużyny. Konkurenci gonią Widzew: nad Legią Widzew ma już tylko 3 punkty przewagi, nad Bałtykiem 5, nad Wisłą 6. Dużo to i mało. W ciągu 9 meczów, jakie zostały do końca sezonu wiele może się zdarzyć. Czy zdarzy się cud dla drużyny z Widzewa? Czy potrafi złapać „drugi oddech" i zdobyć tak upragniony tytuł? Życzę im tego i życzą kibice, ale potrzeba do tego jeszcze sporego wysiłku samych piłkarzy.

Mówi się, że niedługo powrócą do reprezentacji Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda, a Zbigniew Boniek do macierzystego zespołu. Czy powrót obu piłkarzy zmieni sytuację reprezentacji? Wątpię. Widzewowi może dodać sił i umiejętnie pokierować drużyną. Piłkarze Widzewa bardzo odczuwają brak swego lidera. Ale siła drużyny nie może polegać tylko na obecności jednego zawodnika. Mimo to życzę Zbigniewowi Bońkowi szybkiego powrotu na boisko.

Ale cudu w Chorzowie i tak nie będzie. Obym się myliła.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

O COŚ WIĘCEJ NIŻ PRZETRWANIE

Mhmm. Dotąd najczęściej, przeglądając tygodniowe zapowiedzi TvP, można się było spodziewać, że coś tam w ostatniej chwili spadnie z programu, coś zostanie przełożone na „inny termin" (czyli na święty nigdy), a czegoś się nie pokaże ze względu „na spóźnioną porę". Natomiast zupełnym ewenementem jest przypadek (pomijam transmisje „służby sprawozdawczej Dtv"), gdy jakiś punkt programu wprowadza się na mały ekran jakby zza węgła, z pośpieszną determinacją, w nastroju straceńczej odwagi". Jakoś najczęściej takie niespodzianki spotykały programy i widowiska Grzegorza Królikiewicza. Pamiętamy „gry" byłych szefów z Woronicza z „Kroniką polską", z trójodcinkowym widowiskiem „Idea i miecz" (na marginesie: warto byłoby je powtórzyć teraz już w sposób rozsądny i bez urzędniczo-cenzorskich nożyc). Grzegorz Królikiewicz, laureat kilkunastu nagród krajowych i bez mała dziesięciu międzynarodowych, jest wciąż tak zwanym twórcą „kontrowersyjnym" na widok którego spanikowanym administratorom od kultury zasycha w gardle. Trudno się zatem dziwić, że każda jego robota reżyserska w kinie, czy zwłaszcza w telewizji, stawała się artystyczno-ideową sensacją. Bo też zawsze podejmował tematy, które z trudem przedzierały się poprzez gąszcze (całkiem nieplewione) oficjalnej historii i swoiście skonwencjonalizowanej społecznej perswazji. Podobnie jest i z dwuodcinkowym widowiskiem „O coś więcej niż przetrwanie", które telewizja łaskawa była pokazać (po trzech latach leżakowania) w ostatnią sobotę i niedzielę (11—12 kwietnia).

Czas posierpniowej Odnowy nakazał w sposób zdecydowany i nasilony spojrzeć w oczy prawdzie i historii, i to nie tylko dziejów ostatnich dziesięcioleci, ale i przeszłości mierzonej całymi epokami, które kształtowały naród i polską świadomość. Można powiedzieć, że ta rekonstrukcja historii zaczęła się w minionym dziesięcioleciu, ale też trzeba dodać, pamiętając na przykład o pomyśle z odbudową Zamku Królewskiego w Waszawie, czy też o obchodach 60-lecia odzyskania niepodległości, że były to gesty raczej spektakularne niż działania uwierzytelniające naszą historyczną przeszłość. Bezsprzecznie znaczącą rolę w tamtym okresie odegrała pielgrzymka Jana Pawła II po miejscach-symbolach (pamiętamy jego gnieźnieńską homilię) w czerwcu 1978 roku.

Być może nazbyt odbiegam od zasadniczego tematu tego tekstu. Niechaj usprawiedliwieniem będzie kształtujące się w ciągu ostatnich miesięcy przekonanie o niepodważalnej roli w życiu każdego narodu historii. Historii bez manipulacji faktami, historii bez pustych miejsc, historii-wykładni niezbywalnych dla tożsamości narodowej idei.

Widowisko telewizyjne Grzegorza Królikiewicza wedle scenariusza Bohdana Urbankowskiego (współudział B. Świątkiewicza) zostało przygotowane w ówcześnie istniejącym w TvP „Teatrze Faktu". Zatem rekonstrukcja faktów wecklego są w spektaklu wydarzenia związanych z powołaniem na stanowisko komendanta Związku Walki Zbrojnej (potem Armii Krajowej) generała Stefana Grota-Roweckiego (4 grudnia 1939 roku) aż do jego aresztowania przez Niemców w czerwcu 1943 roku i śmierci w obozie w Sachsenhausen stanowi zrąb konstrukcyjny widowiska. Układem odniesień fabularnych do okupacyjnej historii generała Grota-Rozza kulis hitlerowskiego wywiadu, który — już od 1939 roku — skupił wszystkie wysiłki stawiając sobie za cel niedopuszczenie do powstania polskiego podziemia, — od jego rozbicia. Nie można jednak patrzeć na spektakl tylko od tej strony. Jego twórcom, wspierającym się o ekspertyzy licznych konsultantów, puryści od historycznych przecinków i dwukropków, będą mogli zapewne zarzucić nieścisłości w zakresie „barwy i broni" (choć powątpiewam – spektakl miał taką temperaturę emocjonalną, że chyba tylko wariat przyglądał się dystynkcjom i skórzanym paskom), bądź pewne odstępstwa od relacji pamiętnikarskich (np. przybycie łącznika do Rydza-Śmigłego, scena śmierci Okulicza — fascynująca rola Władysława Kowalskiego, — aresztowanie Grota-Roweckiego), czy hipotetyczną sprawę udziału wywiadu brytyjskiego w przekazaniu Niemcom nazwiska dowódcy AK (pamiętajmy jednakowoż o sugestiach historyków, a także o zastanawiającej zbieżności w datach aresztowania Grota — 30.06., i katastrofy gibraltarskiej w której zginął Sikorski — 4.07). Przecież jednak widowisko Grzegorza Królikiewicza nie jest teatrem faktu, ale teatrem idei wspierających się na faktach, teatrem ścierających się racji światopoglądowych, także dramatyczną konfrontacją postaw etycznych, moralnych, narodowych. Nie dla fabularnej sensacji występują w spektaklu Canaris i Hahn, Schellenberg i Merten, Himmler i Heydrich. Nie dla oddania kolorytu polskigo podziemia wprowadzono postaci Kalksteina i Świerczewskiego, Tokarzewskiego i Starzyńskiego, Jastrzębca i Porawy. Nie ze względu na scenariuszową dramaturgię pojawiają się tam dialogi pobrzmiewające historiozofią naszych dziejów, naszych powstań i narodowych aspiracji. Nigdy zresztą historia do której sięga Królikiewicz („Kronika polska", „Konstytucja 3 Maja", „Idea i miecz", „Wielki powrót") nie była zakurzonym foliałem, który trzeba czasem otworzyć, aby przypomnieć sobie zapomnianą datę, bądź nazwisko. Jest natomiast tym co wciąż żywotne, poruszające, twórcze, wciąż teraźniejsze. Wystarczy tylko te, zamulone przez lata całe pokłady poruszyć wprowadzić na powrót do świadomości. Już na stałe. O taką historię powinniśmy uporczywie zabiegać. Jeśli nawet — powtarzam — jeśli nawet widzenie polskiej przeszłości przez Grzegorza Królikiewicza jest dyskusyjne, podejmijmy tę dyskusję nie czepiając się guzików, czy architektury korony Bolesława Śmiałego, jak to było w przypadku „Kroniki polskiej" (słynny „esej" Brygidy Kürbis). To apel do telewizji. Wśród dyskusji o proszku do prania, którego — jak wiadomo — brak, czy o zwyczajach inicjacyjnych na Polinezji, kiedy można pokazać trochę nagiej piersi, niechaj będzie i miejsce na spór o tym czym byliśmy i czym jesteśmy. To apel na wszelki wypadek. Wciąż mam nadzieję że w TvP też zaczynają myśleć po nowemu. Są dowody. Nasza historia to coś więcej niż przetrwanie.

Wracając jeszcze krótko do omawianego spektaklu. Wspomniana „kontrowersyjność" Królikiewicza miała się zasadzać także na rozemocjonowanej ekspresyjnie formie jego widowisk. Tu, w przypadku spektaklu o Grocie-Roweckim zastanawiającym pozytywem była jakby klasyczna pokora twórcy wobec tragicznej wzniosłości podjętego tematu. Znakomicie do tego tonu dostosowali się aktorzy, którzy nie grali, a mówili własnymi słowami nie tracąc nic z tego co najważniejsze. Czy teraz z kolei esteci-specjaliści od głębinowych podtekstów i abstrakcyjnego pustosłowia nie będą mieli za złe Królikiewiczowi ściszonej prostoty środków wyrazu?

GRZEGORZ GAZDA

CHRYSTUS I JUDASZ

Jak nas poinformowała prasa codzienna, widowisko telewizyjne „O coś więcej niż przetrwanie" pióra Bohdana Urbankowskiego (we współpracy z B. Świątkiewiczem) przeleżało się blisko trzy lata na półce. Zrealizowane w 1978 roku przez Grzegorza Królikiewicza w ramach Studia Faktu, nie znalazło uznania w oczach ówczesnych decydentów telewizyjnych — Szczepańskiego, Patyka, Rolickiego, a co więcej napotkało ponoć w drodze na ekran przeszkodę nie do przebycia w osobie ówczesnego premiera i prezesa Rady Naczelnej ZBoWiD, Piotra Jaroszewicza. Jestem gotów uwierzyć w to negatywne zaangażowanie się tak wysoko postawionej osobistości, skoro także w Teatrze Dramatycznym w Wałbrzychu, gdzie sceniczną wersję „O coś więcej niż przetrwanie" przygotowywał sam autor, przedstawienie zostało „zdjęte" z afisza przez komisję przybyłą z Warszawy na dzień przed premierą bez podania motywów.

Te legendarne dzieje tekstu Urbankowskiego łączą się z istniejącą przy telewizji przez okres około dwóch lat, a kierowaną przez G. Królikiewicza, „Sceną Faktu". Królikiewicz, reżyser filmowy tyleż utalentowany co kontrowersyjny, zamierzał zrealizować pod tą firmą cykl widowisk historycznych utrzymanych w konwencji telewizyjnego reportażu. W 1976 pisałem w miesięczniku „Scena" o widowisku „Konstytucja 3 Maja", że pomysł Królikiewicza najazdu kamerą na jedno z okien Zamku Królewskiego w Warszawie „spełnia rolę wehikułu czasu, który od razu przenosi nas w sam gąszcz spraw, jakie rozgrywały się tu przed 185 laty". Nazwałem wówczas to otwarcie spektaklu mistrzowskim.

Królikiewiczowi nie danym było wyreżyserować wielu spektakli na „Scenie Faktu". Po niedopuszczeniu do projekcji widowiska według tekstu Urbankowskiego „Scena Faktu" została przez ówczesne kierownictwo Tv zlikwidowana, a sam Królikiewicz, niewygodny przez swój upór i pasję, zwolniony z pracy.

Te wszystkie okoliczności towarzyszące rodzeniu się widowiska „O coś więcej niż przetrwanie" nie mogą, oczywiście przesłaniać nam dziś, ani odkształcać obiektywnej oceny. Zarówno w warstwie literackiej, jak i reżyserskiej nie jest to spektakl poddający się jednoznacznemu osądowi. Wymyka się on bowiem wszelkim schematom i przyzwyczajeniom, jest próbą całkiem nowego spojrzenia na losy wojenne narodu, a zwłaszcza na konspiracyjną działalność Armii Krajowej. Ludzie lubią patrzeć na przeszłość stereotypami i niechętnie poddają się propozycjom innego jej obrazowania, Stąd, nie wątpię, widowisko Urbankowskiego i Królikiewicza (przyjmuję szyk zgodny z chronologią powstawania spektaklu, choć moim zdaniem głównym jego autorem jest Królikiewicz) znajdzie co najmniej tyluż oponentów, co entuzjastów. Ale taki jest zwykle los dzieł nietuzinkowych.

Walkę organizacji podziemnych związanych z rządem londyńskim ukazują nam autorzy nie od strony spektakularnych akcji typu zamachu na Kutschere, czy odbicia więźniów pod Arsenałem, ale od mniej efektownej strony ścierania się z hitlerowskim kontrwywiadem i gestapo. To nie są w większości przypadków działania heroiczne. Uczciwi bojowcy, których sztandarowym przedstawicielem jest komendant główny Armii Krajowej, gen. Stefan Grot-Rowecki, ocierają się w tych działaniach o zdrajców i denuncjatorów w rodzaju Świerczewskiego. Ale czyż i Chrystus nie spożywał wieczerzy przy jednym stole z Judaszem?

Królikiewicz przyjął i w tym widowisku konwencję reportażową, podkreślaną (nie zawsze konsekwentnie) nakładanymi na obraz nazwiskami lub pseudonimami osób uczestniczących w poszczególnych scenach. Temperament reżysera nie pozwala mu jednak stale utrzymać się w atmosferze chłodnej relacji. W spektaklu daje o sobie znać agresywność i gniewność, jakże typowa dla twórcy filmu „Na wylot". Mam wrażenie, że sztywna formuła, jaką przyjął Królikiewicz w realizacji sagi telewizyjnej o Grocie, doskwiera mu często jak zbyt ciasny gorset. Z ulga więc odskakuje reżyser od zwolnionych, rozciągniętych w czasie sekwencji narad hitlerowskich do scen, w których może dać upust pulsującym w nim samym emocjom.

Stąd jakże gwałtowna w obrazowaniu jest scena egzekucji zdrajcy Świerczewskiego, owo zrywanie się pętli i ponowne wieszanie! Dla widzów o słabszych nerwach mogło to stanowić dawkę zbyt mocną, ale o to nie dbał Królikiewicz nigdy, będąc artystą bezkompromisowym i nie schlebiającym gustom potencjalnego widza.

Na szczególne podkreślenie zasługują sceny kaptowania konfidentów gestapo wśród bojowników podziemia. Procesy staczania się tych ludzi i upodlania przedstawiane są na ekranie, w rwanych, jakby wstrząsanych zadyszką obrazach. Wszystko to odbywa się jednak w ludzkim wymiarze, dalekie od wszelkiego sloganu. Tu szczególną uwagę zwracają na siebie znakomite kreacje **Ryszarda Dembińskiego** (Świerczewski) i **Jerzego Bończaka** (Kalkstein). Trudniejsze zadanie miał **Ryszard Filipski** w roli Grota, ale i jemu udało się stworzyć postać nie monolityczną, przekonywającą.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

P.S. Regułą w filmach okupacyjnych jest beztroski stosunek do mundurów hitlerowskich, naszywek, oznak. Widowisko Królikiewicza — mimo licznych konsultantów — nie stanowi tu wyjątku.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. lat w Warszawie nr 1153-201045-139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 779. K-2.